

GRUF

WOJEWÓDZKI
INFORMATOR
KULTURALNY

● Sukces - to słodka
trucizna... — str. 3

● W KRĘGU EROSA...
Madame Edwarda — str. 13

● ROZMOWA Z PISARZEM
- Bronisławem Zielińskim
— str. 18

● PSYCHOZABAWA
Czy jesteś człowiekiem
dynamicznym? — str. 30

● WHO IS WHO — str. 31

● HOROSKOP!



Fot. Jerzy Patan

● POLECAMY SPOTKANIA

z Anną Ciepiewską, Wiesławem Prażuchem — aktorami Teatru Polskiego i Henrykiem Machalicą oraz Markiem Malinowskim z Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, w słupskim Empiku.

W MARCU ZAPRASZAMY I PROPONUJEMY

● WYSTAWY

W Muzeum Pomorza Środkowego — ekspozycje stałe.

W BWA — „Bazta Czarownic” — do 9 marca — wystawa pokonkursowa im. Witkacego; od 15 marca — grafika młodej słupskiej artystki Joanny Jakubczyk.

W MPiK — Wiesław Prażuch „Wizerunki” — fotografia artystyczna; — zbiorowa wystawa STF (od 15 III).

W Bałtyckiej Galerii Sztuki w Ustce — malarstwo i sztuka artystów rosyjskiej północy — Archangielsk.

● TEATR

— „Świętoszek” Moliera w reż. K. Radeckiej, scen. K. Pankiewicz

— „Ławeczka” Gelmana

— „Cmentarzysko samochodów”

— „Flisak i Przydróżka”

● KONCERTY

— 3, 4 III — dyryguje Zygmunt Hassa, solista — Jerzy Sulikowski — fortepian

— 10 III — koncerty dla szkół

— 17 III Lębork, 18 III Słupsk — dyryguje Jerzy Kosek, solistka — Ludmiła Sirowajska — harfa

— 25 III — dyryguje Zdzisław Siadlak, soliści: Kazimierz Moszczyński — flet, Elżbieta Łukowicz — klawesyn

● IMPREZY

— W klubie MPiK spotkania z: Wiesławem Prażuchem, Anną Ciepielewską — aktorką Teatru Polskiego, Henrykiem Machalicą, Markiem Malinowskim z Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych.

W NUMERZE:

SUKCES — TO SŁODKA TRUCIZNA — rozmowa z Wioletta Cur, Miss Ziemi Koszalińskiej, wicemiss Pomorza — str. 3

WSPOMNIENIA KTÓRE NIE ZNIKAJĄ

— 50 rocznica Kongresu Polaków w Niemczech — str. 5

URODZIŁAM SIĘ ZA PÓŹNO — rozmowa z Kamilą Kulczyk, laureatką konkursu „W poszukiwaniu młodych talentów” — str. 7

ARRABAL — DALEKI OD SKANDALU — teatr — str. 9

W PIĄTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI ST. HEBANOWSKIEGO — teatr — str. 10

„KŁOPOTY TO NASZA SPECJALNOŚĆ”

— poradnictwo — str. 11

MADAME EDWARDA

— W kręgu Erosa... — str. 13

PRZECZYTAŁIMY

— w „Odrze”

i „Literaturze” — str. 15

NOWE WIERSZE

Slawomira Sosnowskiego — str. 16

NIE UZNAJĘ ŻARTÓW

DLA ŻARTÓW — rozmowa z pisarzem, Bronisławem Zielińskim — str. 18

7 „KOPALIŃSKIM” NA BEZLUDNEJ WYSPIE

— książka miesiąca — str. 20

NA SZLAKACH ANDENBURSKIEJ

AGRESJI — historia — str. 21

CZY WARTO BYŁO...

— pamiętnik nauczycielki — str. 24

WDK PROPONUJE...

— str. 26

CZY JESTEŚ

CZŁOWIEKIEM

DYNAMICZNYM?

— psychozabawa — str. 30

SŁUPSKIE „WHO IS WHO” — str. 31

BRUNETKI,

BLONDYNKI... — str. 32

KRZYŻÓWKA,

HOROSKOP

Kronika kulturalna

■ Jacqueline Kennedy-Onassis (związana z nowojorskim wydawnictwem „Doubleday Books”) przygotowuje wydanie pamiętników Michaela Jacksona, w których ten gwiazdor muzyki pop opowiada o swej rodzinie i takich przyjaciółach, jak Marlon Brando, Fred Astair i Quincy Jones.

■ Na moskiewską scenę powrócił po 60 latach od prapremiery w 1928 r. „Zmierzch” Izaaka Babla.

■ Stowarzyszenie Prasy Zagranicznej w Hollywood wyróżniło „Złotym Globem” film „Ostatni cesarz” Bernardo Bertolucciego.

■ Na aukcji w Bombaju obraz autorstwa matki Teresy z Kalkuty został sprzedany za 500 tys. rupii (38 tys. dolarów).

■ Leningradzki oddział wydawnictwa „Iskusstwo” przygotowuje czterotomową edycję zatytułowaną „Spuszcza teatralna Michała Bułhakowa”, na którą wpłynęło już ponad 300 tys. zamówień przyszłych czytelników.

■ Superman ukończy za kilka miesięcy 50 lat. Tak oto minęło już pół wieku od chwili wydania pierwszego komiksu z tym stu-percentowym mężczyzną.

■ W Berlinie z okazji 90 rocznicy urodzin Bertolta Brecha zorganizowano „Tydzień dramaturgii Brechta” (od 9 do 14 lutego), w którym udział wzięły zespoły m.in. z Austrii, Szwecji i ZSRR.

■ Robert Redford odwiedził ZSRR w związku z mającym się odbyć na wiosnę w Moskwie festiwalu filmów z jego udziałem.

■ W Heidelbergu odkryto nieznany list Franza Kafki do Melchiora Vischera, z którym autor „Procesu” zetknął się w czasie pobytu w Pradze.

■ Za najlepsze dzieło zrealizowane przez europejskiego reżysera w okresie ostatnich 30 lat obradujące w Brukseli jury złożone z przedstawicieli 18 krajów uznało film Felliniego „Osiem i pół”. Kolejne miejsca zajęły: „Amarcord” Felliniego, „Śmierć w Wenecji” i „Lampart” Viscontiego, „Fanny i Alexander” Bergmana, „Viridiana” Bunuela i „Hiroszima, moja miłość” Resnais.

■ Zmarł słynny aktor amerykański Trevor Howard, znany w Polsce z takich filmów, jak „Bunt na Bounty”, „Bitwa o Anglię”, „Gandhi”.

■ „Express Wieczorny” przyznał filmowi Z. Kuźmińskiego „Nad Niemnem” „Złoty Express” za najlepszy film polski w 1987 r.

■ Natomiast tygodnik „Ekran” swoje „Złote Ekran” za twórczość telewizyjną minionego roku przyznał m.in. K. Kutzowi za reżyserię „Opowieści Hollywoodu”, Janowi Miodkowi za audycję „Ojczyzna polszczyzna”, a także aktorem Ewie Dąkowskiej i Jerzemu Bińczykiem.

■ Tadeusz Konwicki za książkę „Bohiń” otrzymał nagrodę cenionego miesięcznika „Odra” za rok 1987.

■ W wieku 92 lat zmarła w Krakowie Anna Jarocka, córka poety Jana Kasprowicza.

■ Z przedstawieniem opartym na utworze Isaaca Bashevisa Singera „Sztukmistrz z Lublina” wystąpił w Pałacu Sztuk Pięknych w Brukseli Teatr Współczesny z Wrocławia.

■ Rysunek 10-letniej Katarzyny Bohdanowicz z Warszawy otrzymał jedną z głównych nagród na XVIII Międzynarodowym Konkursie Sztuki Dziecięcej w Tokio.

■ Honorową Nagrodę im. Jana Cybisa na rok 1987 przyznano Janowi Lebenszteinowi.

■ W „Życiu Warszawy” pojawił się na stałe dodatek pt. „Kultura i życie”.

■ Firma płytowa „Wifon” wydała pierwszą w historii naszej fonografii płytę compactową z muzyką polską (koncert e-moll Fryderyka Chopina i koncert fortepianowy g-moll Józefa Wieniawskiego).

■ 6 lutego pierwszą satelitarną transmisję programu kulturalnego z Pol-

ski mogli obejrzeć telewizjowie m.in. z Austrii, RFN i Szwajcarii. Była to transmisja „Mistrza i Małgorzaty” Rainera Kunada, wyreżyserowanego w stołecznym Teatrze Wielkim przez Marka Grzebińskiego.

■ Przewodniczącym Polskiej Federacji Dyskusyjnych Klubów Filmowych został Janusz Zaorski wybrany na XVII Zjeździe w Poznaniu.

Z REGIONU

■ Od kilku lat Miejski Ośrodek Kultury wspólnie z Kuratorium Oświaty i Wychowania organizują w Słupsku „Turniej wiedzy o Słupsku” dla dzieci szkół podstawowych. W tegorocznych rozgrywkach uczestniczyło 12 słupskich szkół podstawowych. Po zaciętej walce zwyciężyła drużyna ze Szkoły Podstawowej nr 16, wyprzedzając SP — 11. Trzecie miejsce zajęła reprezentacja Szkoły Podstawowej nr 14, czwarte — Szkoły Podstawowej nr 2. Dwie pierwsze drużyny walczyć będą w tym miesiącu o zwycięstwo finałowe, podczas trwania obchodów 43. rocznicy wyzwolenia miasta.

■ Doroczną nagrodę „Pobrzeża” przyznawaną za wybitne osiągnięcia w twórczości artystycznej i naukowej jury postanowiło przyznać za rok 1987 Władysławowi Brzezińskiemu, pracownikowi naukowemu

słupskiej WSP za pracę: „Słownictwo Krajniackie” (słownik gwary wsi Podróżna w Złotowskim), której dwa tomy ukazały się nakładem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich PAN. Nagrodę ufundowano wspólnie z Koszalińskim Towarzystwem Przyjaciół Prasy. Gratulujemy!

■ Dla uczczenia pamięci zmarłego przed pięcioma laty Stanisława Hebanowskiego, wybitnego reżysera, pisarza i tłumacza Słupski Teatr Dramatyczny zorganizował w lutym sesję teatrolologiczną w Słupsku. Szczegóły wewnątrz numeru. Podczas obrad głos zabrali badacze literackiej twórczości S. Hebanowskiego oraz jego współpracownicy. Sesję uświetniła premiera sztuki Fernando Arrabala „Cmentarzysko samochodów”, którą po raz pierwszy na polską scenę w Teatrze „Wybrzeże” wprowadził Stanisław Hebanowski.

■ Alarmujący wręcz jest stan obiektów zabytkowych w województwie słupskim. Ostatnio Wojewódzki Oddział Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej zwizytował 59 takich obiektów, wśród których tylko kilka ma troskliwych gospodarzy. Pozostałe przedstawiają tragiczny obraz i jeśli ich właściciele oraz służby konserwatorskie poważnie się nimi nie zajmą — staną się ruiną.

z Wiolettą Cur – Miss Ziemi Koszalińskiej, II wice miss Pomorza

Sukces – to słodka trucizna

— Czy wierzysz w łut szczęścia?

— Oczywiście, przecież to szczęśliwy traf sprawił, że wybrano mnie Miss Ziemi Koszalińskiej...

— Czy dlatego, że jesteś rodowitą słupszczanką, co w Koszalinie nie zawsze może być dobrze widziane?

— Być może, nie wiem, zresztą nie mam uprzedzeń. Jest mi obojętne, gdzie się ktoś urodził i gdzie mieszka. Młodzi nie interesują się czy lepszy jest Koszalin, czy Słupsk. Mówię tu o szczęśliwym trafie w tym sensie, że podczas konkursu występowały dziewczyny ładniejsze ode mnie...

— Taka jesteś skromna...

— Nie, może ktoś mnie posadzić o próżność, ale nie jestem zachwycona swoją urodą. Nic szczególnego. No, może lepiej od innych dziewcząt poruszam się, trzymam się prosto, ale to zasługa ćwiczeń w zespole Arabeska...

— Jednak, cieszysz się z tytułu najpiękniejszej w Koszalińskim...

— Oczywiście, jest to wielką dla mnie frajda. Staram się przyzwyczaić do zmiany, jaka nastąpiła. Tytuły zobowiązują.

— Odnoszę wrażenie, że wcale nie jesteś słodkim niebożątkiem.

— Nie przepadam za słodyczami...

— Szkodzą w utrzymaniu linii?

— Szkodzą, w ogóle. Przeczytałam, że cukier to słodka trucizna.

— Gdzie to przeczytałaś?

— W „Przekroju”.

— Lubisz czytać?

— Staram się, choć pasjonatka nie jestem. Lubię jednak wieczorem zasiąść nad książką.

— Nad jaką ostatnio?

— Czytam Tolstoją „Annę Kareninę”.

— Polecił ci ktoś tę książkę?

— Nie, dostałam ją w prezencie, otworzyłam i czytam.

— Czy to, co przeżywa Anna Karenina, co robi ze swoim życiem, ulegając całkowicie miłości, akceptujesz?

— Potrafię ją zrozumieć, ale nie zastanawiałam się, czy postąpiłabym tak samo.

— Dlaczego?

— Mam otwarte oczy, obserwuję życie i... niestety nie ma już carskich oficerów...

— Jesteś z usposobienia romantyczką?

— Jak każda dziewczyna.

— Jak mam to rozumieć?

— Normalnie, przecież pan wie, że czasy nie są romantyczne.

— A jakbyś żyła w dawnych czasach?

— Kto wie, może...

— Pod jakim znakiem się urodziłaś?

— Jestem spod Barana.

— Jesteś uparta?

— W miarę.

— Kłótliva?

— Nieco.

— Zarozumiała?

— Może.

— Lubisz się uczyć?

— Z tym jest trochę kłopotu.

— Nie lubisz szkoły?

— Tak nie mogę powiedzieć, ale chyba coś w tym musi być...

— Powiedz co?

— A muszę?

— Nie, przymusu nie ma.

— Skończyłam szkołę zawodową. Jestem cukiernikiem, więc pracę mogłabym podjąć w Pomorzance. Nie chcę zaczynać życia od taśmy, gdzie „ida” nawet najbardziej pachnące cukierki.

— Dlaczego więc poszaś do tej zawódki?

— Sama nie wiedziałam co chcę robić, a że nadzwyczaj utalentowana nie jestem, więc tak jakoś zostało.

— Kim są twoi rodzice?

— Mama pracuje jako krawcowa w firmie polonijnej, ojciec jeździ taksówką. Aha, mam jeszcze młodszą siostrę...

— Powiedz, jak to się stało, że wystąpiłaś w konkursie w Koszalinie?

— Faktycznie z namowy szefów naszego zespołu. Mieliśmy występować na tym koncercie w Koszalinie, więc namawiano mnie i kilka koleżanek z zespołu do u-

działu w konkursie. Potraktowałam to jako niewczesny żart i odmówiłam. Wreszcie po ponownych namowach zdecydowałam się. Powiedziałam o tym mamie, która też zgodziła się. Obie postanowiłyśmy te zamiary trzymać w tajemnicy. Dzień przed wyjazdem przyszła babcia i zastała mamę przy wykańczaniu sukienki, którą miałam zabrać na konkurs. Pyta, co wy z tą sukienką robicie, a mama, że trzeba ją skończyć, bo przed miesiącem ją zaczęła...

— No dobrze, a tam w Koszalinie nie miałaś tremy?

— Troszeczkę się denerwowałam, ale mówiłam sobie; uspokój się to przecież nie ma znaczenia, jeśli przegrasz. To taka próba.

— Ale wygrałaś.

— Jak mówiłam, trzeba mieć trochę szczęścia.

— Z większą trema jechałaś do Szczecina?

— O tak, już z większą. W Szczecinie zastaliśmy dziewczyny śliczne, z ładnymi fryzurami, z makijażem. A my z Koszalina jak takie myszki. Trochę się czuliśmy nieswojo. Ale powiedziałam sobie, przecież nic nie tracę. Pomogła również rutyna pracy w zespole, no i wybrano mnie II wicemiss Pomorza...

— Co Cię obecnie czeka?

— Nie wiem. Słuchaliśmy coś piate przez dziesiątę jak ktoś z organizatorów mówił, że najpierw będą eliminacje w Warszawie, a następnie w Białymstoku. Nieważne, dowiem się z prasy...

— Jak reagowano na twój wybór w domu, co mówili koledzy, koleżanki. Obyspano cię kwiatami, prezentami?

— Rodzice się cieszyli razem ze mną, a koleżanki? Zobaczę się z nimi w szkole, w przyszłym tygodniu...

— Powiedz, w chwilach trudnych, bo i takie się w życiu zdarzają, kto jest twoim powiernikiem, przed kim się możesz wypłakać?

— Myślę, że przed mamą. Czasami bywa, że jestem zła, czasami chyba dla niej niedobra, ale zawsze lecę do niej jak potrzebuję...

— Oceniasz się krytycznie, jesteś czasami dla rodziców niedobra?

— Przecież tak bywa, że nie wszystko im się podoba co robię, jestem uparta, czasami chcę czegoś, co oni uważają za zbędne, żyjemy przecież nie w niebie, ale wiem, że rodzice zrobią dla mnie wszystko, że chcą jak najlepiej, ale się buntuję. Potem tego żałuję, jest mi wstyd...

— Powiedz jak widzisz swoją przyszłość?

— No więc jednak szkoła. Muszę ją skończyć. Jeśli uda się coś mi wygrać w tych konkursach i eliminacjach, to być może zostanie modelką, bo podoba mi się ten zawód. Może później otworzyłabym swój własny dom mody. No, nie wiem...

— Modelką już przecież jesteś. Twoja podobizna ukazała się w gazetach, w tygodniku „Zbliżenia”, w miesięczniku „Pocbrzeże”...

— Raz czy dwa jakiś fotoreporter zrobił zdjęcie... Nie mówię o takich okazjach. Po prostu chcę zarabiać jako modelką profesjonalnie. Jeśli moja uroda, twarz, sylwetka podoba się, to przecież mogę w ten sposób zarabiać, choć zdaje sobie sprawę, że jest to zawód trwający dość krótko...

— No dobrze załóżmy, że już zarobiłaś duże pieniądze, co byś z nimi zrobiła?

— Możliwe, że razem z moim chłopakiem wybralibyśmy się gdzieś daleko... do szkoły przeżycia; są takie szkoły w Indiach, w Birnie, Nepalu, w Laosie.

— Jesteś zakochana?

— Myślę, że tak, choć chłopak mieszka dość daleko, w Krakowie. Poznałam go w zeszłym roku, gdy występowaliśmy z „Arabeską” w Kołobrzegu.

— A propos „Arabeski”. Jak długo tańczysz w tym zespole?

— Minęło już trzy lata. A znalazłam się w nim również za namową mamy. Nie bardzo chciałam, ale powiedziała — musisz pójść i tak się zaczęło. To jest naprawdę ciężka praca. Ćwiczymy trzy razy w tygodniu po 3 godziny. Wysiłek jest spory, ale nie żałuję. To wspaniały zespół. Cieszę się, że jestem w „Arabesce”.

— Według Ciebie, do kogo jesteś bardziej podobna, do mamy, czy do taty?

— Myślę, że do ojca.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: EDWARD KARBOWIAK

WIOLETTA CUR — Miss Ziemi Koszalińskiej, II wicemiss Pomorza. Ma osiemnaście lat, ciemnoblond włosy, miodowo-bursztynowe oczy, lubi muzykę dyskotekową i symfoniczną. Urodziła się 19 marca w Słupsku.

Wspomnienia, które nie znikają

Kiedy Mickiewiczowski Konrad brał na siebie odpowiedzialność za losy polskiego narodu, odkrył rodakom również tajemnicę swojej mocy. Jednym skrzydłem uderzył o przeszłość, wcielając się niejako w całą minioną historię Polski — natomiast drugim uderzył o przyszłość, biorąc zarazem na swoje barki władztwo nad obecnymi i przyszłymi pokoleniami.

Sens tych symboli zrozumieli zapewne doskonale działacze polonijni okresu międzywojennego, przygotowując w 1938 roku wszystkich członków Polonii do uroczystych obchodów upamiętniających 15 rocznicę ukonstytuowania się Związku Polaków w Niemczech. Myśląc o dalszym zespoleniu ideowym rozproszonej Polonii, chcieli stworzyć coś w rodzaju małej konstytucji. Robili więc obrachunek z przeszłością i kreślili nowe plany na przyszłość. Z historii wiemy, że o coś podobnego pokusił się również Mickiewicz, dając do ręki pielgrzymom polskim „Skład zasad”. Jednak polityczne i społeczne credo Polonii miało wówczas inną wymowę.

Już w styczniu i lutym 1938 roku odbywały się sejmiki dzielnicowe z okazji piętnastolecia Związku Polaków w Niemczech. Ważnym wydarzeniem był sejmik V Dzielnicy Związku Polaków na obwód regencji pilskiej i koszański 2 lutego 1938 roku w Zakrzewie pod hasłem: „Co dzień Polak narodowi służy”. W imieniu młodzieży kaszubskiej przemawiał wówczas Józef Janikowski z Rabacina:

„Polska młodzież z Kaszub wyraża podziw dla dzieła, które Ojcowie nasi zdolali dokonać w ubiegłych 15 latach, budując wśród trudu i znoju naczelną organizację polską w Niemczech. Wskazaliście nam drogę, którą w przyszłości mamy kroczyć. Przekazaliście nam naszą ukochaną polską mowę, wlaście w serca nasze miłość do Narodu Polskiego, wiarę Ojców oraz wiarę w nasze zwycięstwo. (...) Za wami, rodzice nasi, kroczyć będziemy drogą przez was wytkniętą, iść będziemy za dumnym sztandarem Rodła, jak wy kroczyście. Ojcowie! Jesteśmy tak samo Polakami, jak wy Polakami jesteście. I tego nic nie zdoła zmienić. Na wyzna-

czonym nam posterunku wytrwamy aż do ostatecznego zwycięstwa”.

Taki wyłaniał się obraz kaszubskiej młodzieży, która uczyła się patriotyzmu i wierności ojczyźnie w organizacjach młodzieżowych pod patronatem Związku Polaków w Niemczech.

Następny sejmik Polaków odbył się w Płotowie na Ziemi Bytowskiej dnia 17 lutego 1938 roku. Wówczas padły znamienne słowa: „My nie zrezygnujemy z walki o swoje prawa do języka i kultury”. W przemówieniu oficjalnym znany działacz polonijny Arka Bożek w płomiennych i ojcowskich słowach zachęcał Kaszubów do aktywności, do obeerzenia się wstecz i zaczerpnięcia u praojca naszego bytu mocy do wytrwania na przyszłość.

Dnia 6 marca 1938 roku nastąpiło podsumowanie wszystkich lokalnych sejmików na centralnej uroczystości kongresowej w Berlinie. Ta potężna manifestacja ujawniła wówczas światu, poważną siłę Polaków w Niemczech i mówiła o wytrwałej i nieugiętej ich walce o swe prawa. Na Kongres w Berlinie przybyło ponad 6 tysięcy Polaków z całych Niemiec, sala kongresowa nie była w stanie pomieścić wszystkich uczestników. Ojcowie wymieniali więc karty wstępu z dziećmi, sąsiedzi między sobą lub z różnymi znajomymi. Każdy pragnął chociaż na chwilę wejść na salę i nasycić się podniosłą atmosferą uroczystości. Na scenie znajdował się emblemat RODŁA, znak graficzny Krakowa i Wisły, który nie jest herbem ani godłem, ale po prostu symbolem naszego pochodzenia i łączności z całym narodem polskim. Obok umieszczono zielony stylizowany liść lipy, odznakę Związku Młodzieży w Niemczech.

Otwarcia Kongresu dokonał ks. dr Bolesław Domański, prezes Związku Polaków w Niemczech. Na scenę wkroczyła grupa młodzieży, ustawiając się w łańcuch wbiły w salę i deklamująca zbiorowe zawołanie kongresowe Lecha Malbora:

Cóż to za znak

Tak piękny i śmiaty?

To Rodło!

To wiary i krwi naszej godło,

Młodości znak zuchwały!

Następnie młodzi witali się w imieniu: Śląska, Ziemi Polabskich, Westfalii, Nadrenii, Prus Wschodnich oraz Pogranicza z ziemią kaszubską. Recytacje, wygłaszane przez młodych z Pogranicza zawierały m. in. następujące słowa:

Od mrocznych wieków ojcowie moi
dzierżą pograniczne szlaki.
Gdzie Bytów, Złotów i Babimost stoi,
Tam krwi i potu są znaki.
Czule nad nami dźwięm stróżuje,
z zakrzewskiej płynący wieży,
Ojcom za wytrwanie — niebo zwiastuje,
hartu moc daje młodzieży.
Wszystkie recytacje kończyły się następującym zawołaniem:

A ojcze nasi do Piasta synowie,
To lud od sochy i pola,
Co w polskim zwyczaju i w polskim słowie
Tak twardy, jak jego dola.
W tej doli jednakiej wolamy was.
W gromadzie stańmy, rodacy!
Toć krew, co w braci łączy nas,
To znak: jesteście Polacy.

Druga część Kongresu rozpoczęła się HYMNEM RODŁA, a ks. dr Domański, duchowy przywódca całej Polonii, poddał zebranym następujące prawdy Polaków pod głosowanie:

Prawda pierwsza

— Jesteśmy Polakami.

Prawda druga

— Wiara ojców naszych jest wiarą
naszych dzieci.

Prawda trzecia

— Polak Polakowi bratem.

Prawda czwarta

— Co dzień Polak narodowi służy.

Prawda piąta

— Polska Matką naszą, nie wolno
mówić o matce źle.

Prawdy te zostały jednogłośnie przyjęte przez wszystkich obecnych i stały się tym samym obowiązujące. Prawdy te — głosił mówca — nie z rozumu mędrców wielkich się wywodzą, ale z najprostszych serc ludu wydobyte są. Prawdy te są zatem dla serc polskich.

Następnie przedstawiciel młodych Polaków spod znaku Rodła, Wilk Poloczek, ogłosił Manifest Młodych:

Najpiękniejsze słowo polskie — Matka

Najważniejsze — Naród

Najświętsze — Bóg.

Naród polski jest wieczny i do wielkości przeznaczony.

Przeznaczenie to w sercu każdego Polaka jest złożone.

Obowiązek zatem budowania wielkości narodu polskiego na każdym z Polaków spoczywa.

Obowiązek ten jest ciągły, bo i serce polskie jest niezmiennie, bez względu na czas, bez względu na miejsce, bez względu na warunki.

I dla nas nie ma zastoju, jeno walka, walka.

Wczoraj, dziś, jutro i dalej...

Co dzień, co dzień trwa walka! Nie ma świąt, ni wytchnienia!

To nasz manifest młodych!

Głos wierzących.

Głos miłujących.

Głos gorejących...

To my — Polactwo Walczące.

Dumny Manifest Młodych przeszedł w ogólny śpiew „Hasła Polaków” i tak zakończono pierwszy Kongres Polaków 6 marca 1938 roku.

* * *

Kongres odbił się olbrzymim echem w prasie światowej. Radio Polskie transmitowało w tydzień później cały przebieg uroczystości, utrwalonej na płytach. W Senacie Rzeczypospolitej Polskiej 9 marca 1938 roku mówił senator Jęzke: „Kongres Polaków w Niemczech zajął stanowisko godne i dumne. Jako główny wynik tego Kongresu uchwalono 5 Prawd Polaków. Są to zasady, które nie tylko mogą przyswiecać wszystkim mniejszościom narodowym gdziekolwiek one się znajdują, ale powinny też być przykładem dla nas wszystkich”.

Kongres sprzed 50 lat przywołuje również żywe po dziś wspomnienia Kaszubów bytowskich. Są to zdarzenia, które zachowały żywotność, tak silnie bowiem oddziałują na wyobraźnię generacji starego autoramentu — są to wspomnienia, które nie znikają. Ludzie mają jeszcze serca pełne wspomnień historycznych i wzruszeń, mają oczy pełne barw i obrazów. Tamta przeszłość kształtuje się w ich pamięci jako film migawkowy, różnorodny, dający tyle wzruszeń, mających pozostać najpiękniejszą pamiątką na całe życie. W rozmowach dotykaliśmy tyłu spraw, tyłu zagadnień odbiegając w przeszłość. Nikt nie wstydził się wzruszeń wygłaszając dane hasła u nas dawno zapomniane. Czas nie stłumił ducha poświęceń, a patriotyzm był i jest u nas potęgą rzeczywistą, żywą, gotową każdej chwili do składania dowodów.

Patrzac na owe wydarzenia historyczne sprzed 50 lat i słuchając wyznań starych działaczy polonijnych zastanawiałam się, co za moc miała nasza Polska — Matka, że mogła serca prostego ludu napełnić tak wielką miłością i sięgnąć takich głębin uczucia na całe życie. Sądzę, że już z tego względu 50 rocznica I Kongresu Polaków w Niemczech — przypadająca na dzień 6 marca 1938 roku — jest godna zapamiętania.

URSZULA MACZKA

Rozmowa z Kamilą Kulczyk, piętnastoletnią laureatką konkursu „W poszukiwaniu młodych talentów”.

Urodziłam się za późno

— Kiedy po raz pierwszy sięgnęłaś po pióro?

— W szóstej klasie moja polonistka powiadomiła uczniów o konkursie literackim dla dzieci i młodzieży. Napisałam wtedy dwa opowiadania i wiersze. Otrzymałam wyróżnienie. Rok potem, w tym samym konkursie wygrałam nagrodę w dziedzinie poezji. W tym roku z kolei wysłałam swoje prace na ogólnopolski konkurs ogłoszony przez Zarząd Wojewódzki ZSMP w Słupsku pod tytułem „W poszukiwaniu młodych talentów”. Nie przyznano pierwszej nagrody. Zdobyłam drugą.

— Skąd czerpiesz pomysły. Napisałaś opowiadanie w konwencji science fiction?

— Pomysłów zawsze miałam wiele. Już w pierwszej klasie ciągle tworzyłam jakieś historyjki, wymyślałam zdarzenia. Nie „przelewałam” jednak tego na papier. Nie chciało mi się po prostu. Być może było to zwykłe lenistwo. Dopiero zmobilizowały mnie konkursy. Opowiadania, które wysłałam były dosyć banalne. Zwłaszcza jedno. Głównej bohaterce, Sabinie, najbliższa przyjaciółka odbija chłopaka. Kończy się to wszystko bardzo tragicznie. Z kolei jeśli chodzi o opowiadanie science fiction, to jeden pan zarzucił mi, że ściągnęłam temat. Nie przypominam sobie wprawdzie żebym tak zrobiła, ale być może czytałam kiedyś coś podobnego i nawet nie zdając sobie z tego sprawy popełniłam plagiat.

— Kto jest Twoim pierwszym recenzentem? Czy masz kogoś, kto chociażby poprawi Ci błędy ortograficzne czy stylistyczne, nieco ukierunkuje?

— Czasami, gdy coś napiszę daję do przeczytania mamie. Jednak staram się tego unikać. Nie lubię korekty. Jeśli zaś chodzi o błędy ortograficzne, to ich nie popełniam. Od dziecka bardzo dużo czytałam, a że jestem wzrokowcem zapamiętuję pisownię. Oczywiście żałuję, że nie mogę uczestniczyć w dobrych warsztatach poetyckich, no ale cóż...

— Skoro mówimy o czytaniu...

— Studiuję teraz Gałczyńskiego. Lubię czytać autorów dobrze piszących. Uczę się wtedy jak pisać, pogłębiam wiedzę.

— W jaki sposób dokonujesz selekcji. W Twoim wieku jeszcze się czyta „wszystko”?

— Podpowiada mi trochę mama, znajomi, korzystam z biblioteki. Gdy nazwisko autora nie mi nie mówi, przeglądam notki biograficzne. Niekiedy po przeczytaniu kilku zdań wiadomo jakim stylem operuje autor.

— A czy masz już ulubione książki, autorów?

— Bardzo podobał mi się „Cień ojca” Dobraczyńskiego. Często powracam do „Małego księcia”. Jest to niesamowicie prosto napisana książka, a jednocześnie niosąca tak wiele cennych przesłańek. Kiedy pierwszy raz ją przeczytałam, a miałam wówczas osiem lat, nic nie rozumiałam. Dopiero zaczęła na mnie działać po kilku latach. Jako przykład mądrości tej pozycji przytoczę przemowę lisa, która w swej absurdalności jest jakże głęboka i życiowa. Myślę, że gdy będę miała i lat osiemdziesiąt, to ciągle czytając „Małego księcia”, odkrywać będę nowe prawdy.

Duże wrażenie wywarła na mnie lektura „Nędzników” Hugo. Wprawdzie podczas czytania opuszczałam opisy i wątek psychologiczny, ale podobały mi się dialogi.

— Domyślałam się, że pisanie i czytanie wypełnia Ci całkowicie wolny czas.

— Niezupełnie. Jestem trochę zacofana. Doskonale czuję się w sklepie „Desy”, gdzie otaczają mnie sprzęty sprzed wielu lat. Myślę, że urodziłam się trochę za późno. Chciałabym przeżyć prawdziwą pensję, gdzie obowiązuje biały kołnierzyk i jest się traktowanym z surowością. Lubię też robotki ręczne — haftowanie, szydełkowanie.

— Masz dopiero piętnaście lat. Czy zdarza Ci się, że po cichu, kiedy nikt nie widzi pobawisz się lalkami?

— Ależ ja wcale nie robię tego po cichu. Wprawdzie już wszystkie swoje lalki oddałam, ale nie ukrywam, że zdarza mi się wraz z moją przyjaciółką pobawić się lalką jej młodszej siostry.

— A czy chodzisz do dyskoteki. Już chyba na to czas?

— Jeżeli ktoś mnie poprosi, to idę. Nie jest to jednak dla mnie najprzyjemniejszy sposób spędzania czasu. Nie odpowiadam mi muzyka młodzieżowa. Wolę słuchać klasyków — Bacha, Mozarta, Beethovena. Zresztą dyskoteki źle wpływają na naszą

BYŁA NAS GROMADKA SPORA

W październiku ubiegłego roku Bytowski Oddział Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego gościł w murach bytowskiego Zamku działaczkę o wolność i polskość Ziemi Bytowskiej oraz Warmii, panią Władysławę Knosale (z domu Styp-Rekowską).

Ród Styp-Rekowskich swoimi początkami sięga czasów wiedeńskiej wyprawy Króla Jana III Sobieskiego. W Płotowie mieszkają od 1753 roku. Chlubą rodu był niewątpliwie ojciec Władysława Knosale, Jan Styp-Rekowski. Podkreślając z dumą swoją kaszubskość konsekwentnie walczył o zachowanie polskości swoich rodaków. Przez pewien czas był reprezentantem partii socjalistycznej w Kreistagu — sejmiku powiatowym w Bytowie. Z żoną Weroniką (z domu Bruska) miał jedenaścioro dzieci. Wszyscy oni złotymi zgłoskami zapisali się wśród bojowników o powrót tych ziem do ojczyzny — Polski.

Po wojnie w rodzinnym dworcu pozostała nadal aktywna, samotna (narzeczony był także ofiarą hitlerowców) Kazimiera Styp-Rekowska.

Losy rodziny Jana Styp-Rekowskiego przekazała, w literackiej formie, właśnie Pani Władysława Knosale w pamiętniku „Była nas gromadka spora”, wyd. w 1972 r., w olsztynskim „Pojezierzu”.

Okazała bezpośredniego spotkania z osobą doskonale pamiętającą tamte trudne lata, zgromadziła niemal wszystkich członków bytowskiego zrzeszenia.

Pierwsza część spotkania to swobodna opowieść Pani Władysławy, iskrząca się kaszubskim humorem, o latach jej dzieciństwa i młodości. Mimo codziennych kłopotów i trudności, wzajemna życzliwość, humor i umiejętność radości z drobnych sukcesów pozwalały bytowskim kaszubom przeżyć w nadziei na lepszą przyszłość.

(P. R.)

W SŁUPSKU — NOWA SIEDZIBA

29 stycznia Oddział Zrzeszenia w Słupsku zorganizował spotkanie Noworoczne, na które z dziećmi przybyli członkowie i sympatycy Zrzeszenia. Miejsca na spotkanie użyczył Oddział Wojewódzki Stowarzyszenia PAX. Dzieci otrzymały najnowsze książeczki z pozycją kaszubską opublikowane przez oficynę Zrzeszenia w Gdańsku.

Zaprezentowano przepiękne serwety, obrusy i inne materiały haftowane po kaszubsku przez członkinie Klubu Haftu Kaszubskiego przy Miejsko-Gminnym Domu Kultury w Uście. Klub, do którego należy aktualnie jedenaście pań zamieszkałych w Uście, istnieje siedem lat. Inicjatorką utworzenia przy usteckiej placówce tej sekcji haftarskiej jest Aldona Zak, znana działaczka kulturalna w woj. słupskim, poetka, malarka. Plonem pasji haftarskiej usteżanek jest kolekcja wielu oryginalnych pomysłów na nowe wzory — nazywanych przez panie „Ustecka Szkoła Haftu Kaszubskiego”. Być może w przyszłości ta „szkoła” doczeka się dzięki pomocy Zrzeszenia, publikacji teki haftu usteckiego.

Oddział Słupski otrzymał w tym roku 3 miliony złotych dotacji celowej na działalność wydawniczą a także wsparcie na bieżącą działalność organizacyjną. Jest więc możliwość złożenia w drukarni „Teki wzorów do haftu słowińskiego” przygotowanej w ub. latach staraniem Zrzeszenia przez mgr Hugonę Ostrowską-Wójcik, kustosz Muzeum Pomorza Środkowego, oraz artystów plastyków — Dorotę Sikorską-Laźny i Mieczysława Łaźnego.

(W. A.)

kondycję. Udowodniono, zapewne wie pani o tym, że pewne częstotliwości i natężenia dźwięku i światła wyzwalają złe instynkty. Mówi się, że młodzież jest zła, a przecież dużo tego zła wyzwała się pod wpływem czy „metal” czy hard rocka. Poza tym ta muzyka psuje słuch, a ja pragnę słyszeć do późnych lat.

— A jakie wartości cenisz sobie najbardziej?

— Tolerancję. Sama mam niekiedy skrajne przekonania, niemal szowinistyczne, jednak uważam, że tej cechy nam, Polakom najbardziej brakuje. Cenię bardzo — może to prozaiczne — miłość, przyjaźń, solidność. Śmiesz mnie ludzie ogarnięci manią pieniądza. Stawiający ponad wszystko dobra materialne.

— A Ty nie chciałabyś mieć dużo pieniędzy?

— No pewnie, że chciałabym. Lubię zbytek, ale i bez wili i szybkich samochodów można doskonale żyć. Są piękniejsze dobra w życiu niż pieniądze, mówiłam zresztą o nich.

— Myślałaś już o tym, co będziesz robiła w przyszłości?

— Na pewno nie zostanę dziennikarką. Może będę pisarką? Nie wiem. Jeżeli tak, to z pewnością będę podpisywała się męskim pseudonimem.

— A to dlaczego?

— Pomimo, że mamy równouprawnienie, inaczej odbiera się to, co robią mężczyźni, bardziej poważnie. Tak naprawdę jednak myślę o zawodzie aktorki. Gdybym dostała się do szkoły aktorskiej, to chciałabym dużo czasu poświęcić śpiewaniu. Moim ideałem śpiewającego aktora jest Michał Bajor. Lubię śpiewać i uczęszczam na zajęcia śpiewu solowego w Miejskim Ośrodku Kultury. Myślę jeszcze o tym, żeby nauczyć się grać na gitarze.

— Na razie jednak musisz dostać się do szkoły średniej.

— Będę zdawała wkrótce egzaminy do I Liceum Ogólnokształcącego im. B. Krzywoustego. Nie wiem jeszcze do jakiej klasy, czy humanistycznej, czy biologiczno-chemicznej. Może rozstrzygnie to olimpiada języka polskiego, do której się teraz przygotowuję... W każdym razie bardzo boję się szkoły średniej, a z drugiej strony jestem ciekawa nowych nauczycieli, koleżanek i kolegów.

— Życzę Ci więc powodzenia w olimpijskich zmaganiach.

— Dziękuję.

Rozmawiała: MAŁGORZATA MILEWSKA

Arrabal- daleki od skandalu

Takiego efektu można się było spodziewać. Twórczość Fernando Arrabala nie cieszyła się w Polsce większą popularnością i każde pojawienie się jego sztuki na scenicznych deskach było zabiegiem ryzykownym. Potwierdza to w sposób oczywisty najnowsza słupska premiera. Oto Ryszard Jaśniewicz wyreżyserował „Cmentarzysko samochodów”, sztukę która nie wzbudzi większego zainteresowania widza (bo on tu przecież najważniejszy), krytyka czy też historyka spisującego z okazji nowego jubileuszu artystyczne dzieje naszego teatru.

Na słupskiej scenie Arrabal okazuje się być autorem bardzo nudnym i niestety jałowym intelektualnie.

Twórczość Arrabala koresponduje i wyrasta z doświadczeń i propozycji Nowej Dramaturgii, tak jak i ona karmi się różnymi obsesjami, w tym wypadku chyba najbardziej seksualnymi, psychologicznymi i cywilizacyjnymi. Od „Ubu” Jarry’ego rozpoczęła się ta krytyka słowa, tekstu literackiego. Sądzono, że słowo da się wymienić na teatralny rekwizyt, dlatego tak wzrasta jego rola w twórczości chociażby Ionesco i Becketta. Arrabal jest gdzieś na obrzeżach tych eksperymentów. Jest chyba za bardzo hiszpański, przywiązany do ceremoniału, wystawności, sztuczności i melodramatyzmu tej kultury, by pójść w tych swoich eksperymentach równie daleko. Poprzestaje na okrucieństwie, na szokowaniu widza, co, szczerze mówiąc nie wywołuje aktualnie większego wrażenia. Coś więc z tym Arrabalem należałoby zrobić, by rzeczywiście powiedział on trochę ważnych rzeczy o ludzkim życiu, by ewentualny widz poczuł, że stoi wobec ważnej i bezwzględnie, wręcz agresywnie szczerzej prawdy o sobie samym. Niestety, słupski Arrabal daleki jest nie tylko od skandalu inscenizacyjnego, ale i poznawczego, intelektualnego.

Wydaje się, że Ryszard Jaśniewicz wystawił „Cmentarzysko samochodów” tak, jakby nie istniało coś, co zwykło nazywać się interpretacją tekstu, za którą zazwyczaj kryją się głębokie i maksymalne poszukiwania nadające i wydobywające z analizowanej sztuki znaczenia nowe, ważne dla tych, z którymi teatr chce w czasie spektaklu nawiązać kontakt, być może nawet — jak to się pięknie mówi — rozmowę.

Arrabal wściekły, kłujący, antymie-szczański, psychoanalityczny, albo jak u Hebanowskiego dowartościowany przez pogłębienie wątku Emanou — Jezusa — takiego odczytania zabrakło reżyserującemu „Cmentarzysko samochodów” Ryszardowi Jaśniewiczowi. Powierzchnowe odczytanie powoduje, że spektakl ten ogranicza się do prezentacji fabuły i wygrywania na scenie tego, o czym informują didaskalia. A przecież chciałoby się, żeby ta inscenizacja nie ograniczała się tylko do prezentacji wydarzeń dziejących się na cmentarzysku starych samochodów.

To wszystko powoduje schematyczną grę aktorów, którzy zachowują się na scenie tak, jakby ich głównym celem było zbudowanie postaci jednowymiarowych bez wewnętrznych komplikacji, statycznych. W sztuce Arrabala jest przecież jednak sporo materiału nadającego się do budowania ról, czego, niestety, jakby nie chcieli dostrzec aktorzy i reżyser. Odwołam się tu chociażby do wątku trzech przyjaciół (Emanou, Tope i Fodere), których losy są wyraźnym nawiązaniem do nowotestamentowej historii. Tymczasem w spektaklu wszystko to jest zamazane, mało czytelne, a dramatyczna, o wysokim napięciu scena zamienia się na naszych oczach w banalną opowieść, bo ci, którzy są jej bohaterami nie przeżywają nic, co przykuwałoby oczy i umysł widza, nie przeżywają — bo są pozbawieni wewnętrznego życia. A już kluczowa scena ofiary i męki Emanou jest tak spreparowana, jakby za chwilę w aurze migających światełek miał wkroczyć zespół Arabeska. To chyba jednak nie najlepszy pomysł sprowadzić tylko do takiego wymiaru historię, która przez dwa tysiąclecia kształtowała duchowość kultury.

Pod adresem słupskiej inscenizacji można by sformułować wiele zarzutów, większość z nich jednak wynika przede wszystkim z braku reżyserskiej koncepcji. A szkoda, bo Arrabal mógł chociaż nas zaszokować swym śmietnikiem idei i ludzkich wraków, śmietnikiem odwartościowanych symboli. Samo „wystawienie” „Cmentarzyska samochodów” to jednak trochę za mało.

Słupski Teatr Dramatyczny: „Cmentarzysko samochodów” Fernando Arrabala. Reżyseria: Ryszard Jaśniewicz, scenografia: Jędriga Pożakowska, muzyka: J. Partyka. Premiera: 6 II 1988 r.

KRYSTYNA ANIELECKA

W piątą rocznicę śmierci St. Hebanowskiego

Dla ludzi teatru — dramaturgów, reżyserów, aktorów — Stanisław Hebanowski pozostanie legendą, człowiekiem wielkiego formatu, twórcą o zgoła renesansowym umyśle i takowych zainteresowaniach. Swoim pasjom artystycznym, twórczości rozległej, poświęcał się bez reszty. Zmarł 18 stycznia 1983 roku w pociągu, jadąc do Szczecina, gdzie prowadził w Teatrze Współczesnym próby „Czekając na Godota” — sztuki ulubionego Becketta, dramaturgisty bliskiego wysłanym poszukiwaniom estetycznym w teatrze.

Kim był Stanisław Hebanowski — reżyser, pedagog, wybitny tłumacz, literat, dziennikarz (m. in. redaktor naczelny gdańskiego miesięcznika „Punkt”), bibliofil.

Odpowiedź na to pytanie padła 6 lutego w Słupskim Teatrze Dramatycznym podczas sesji teatralnej zorganizowanej w piątą rocznicę śmierci artysty. To udane przedsięwzięcie zawdzięczamy wysiłkowi licznej grupy pracowników teatru i przyjaciół Hebanowskiego — nie tylko ze Słupska ale i Gdańska, w którym od 1969 roku rozpoczął swoją bogatą działalność artystyczną, początkowo jako kierownik literacki Teatru „Wybrzeże”.

Na słupskiej sesji wygłoszono kilka referatów poświęconych pamięci Hebanowskiego. Bogactwo jego osobowości sprawiło, że prelegenci przedstawili swój stosunek do wielu zjawisk życia teatralnego w Polsce, ze szczególnym uwzględnieniem miejsca Hebanowskiego w tych dokonaniach. Irena Gubernat (WSP Słupsk) omówiła tradycje teatralne Słupska. Uzupełniono to wystąpienie w ciekawej dyskusji. Jerzy Niesiołowski (Tygodnik „Fakty”) zaprezentował arcyciekawy temat: „Modernizm w twórczości S. Hebanowskiego”. Władysław Zwistowski (Teatr „Wybrzeże” Gdańsk) mówił o fenomenie osobowości Hebanowskiego. Andrzej Zurowski (TV Gdańsk) krytyk teatralny — przedstawił własne przemyślenia nad estetyką widowisk teatralnych reżyserowanych przez Hebanowskiego. Krzysztof Wójcicki (Teatr Dramatyczny w Gdyni) zatytułował swoje wystąpienie: „Próba rekonstrukcji „Cmentarzyska samochodów” F. Arrabala w reżyserii S. Hebanowskiego”. Prapremiera tego widowiska, a za-

razem zapoznanie polskiej widowni z arcyciekawą twórczością Fernando Arrabala, odbyła się na scenie Teatru „Wybrzeże” w Gdańsku 29 kwietnia 1972 roku. Stanisław Hebanowski opracował scenicznie i wyreżyserował przedstawienie według tekstu tłumaczonego przez Jerzego Zagórskiego.

Ryszard Jaśniewicz, dyrektor artystyczny STD, inicjator słupskiej sesji i reżyser przedstawienia tej sztuki zaprezentowanego 6 lutego w Słupsku na zakończenie obrad, był w gdańskim teatrze asystentem Hebanowskiego. A więc wymowny hołd złożony pamięci mistrza. W czasie dyskusji kilkakrotnie wspomniano o nielicznych acz ważnych epizodach słupskich Hebanowskiego. Zofia Miklińska, dyrektor artystyczny Państwowego Teatru Lalki „Tęcza”, skorzystała przed laty z jego sugestii — wystawienia na scenie „Tęczy” widowiska opartego na „Panience z okienka” Deotymy. W 1971 roku Hebanowski, wraz z Zofią Mrozowską i Aleksandrem Bardinim, był w składzie komisji egzaminującej na słupskiej scenie adeptów teatralnych.

Cennym uzupełnieniem spotkania była wystawa pamiątek, dokumentów dotyczących życia i działalności artysty — zorganizowana w holu teatru przez Pracownię Dokumentacji Teatrów Trójmiasta istniejącą na Uniwersytecie Gdańskim. Bogata ekspozycja, po której oprowadzała nas żona artysty Irena Maślińska, posiada obszerny katalog zawierający informacje o eksponatach i wszelkich dokonaniach Hebanowskiego. Uczestnicy sesji mieli także okazję otrzymać książkę wspomnień o Hebanowskim opublikowaną z końcem ubr. przez Wydawnictwo Morskie w Gdańsku. Książka, zredagowana przez prof. Stanisława Kaszyńskiego, zawiera kronikę życia i twórczości S. H. w latach 1912—1983, a także teksty wspomnień 25 autorów — ludzi bliskich artyście, współpracowników. Są utwory poetyckie Jemu dedykowane a także liczne zdjęcia osobiste, rodzinne, ze spotkań w środowiskach teatralnych.

Ta sobota — 6 lutego — pozostawiła uczestnikom sesji wiele wrażeń.

JERZY DĄBROWA

Ja chyba zwariuję z tym dzieckiem! Drze się wniebogłosy tylko dlatego, że kazałam posprzątać klocki. Tak właśnie reaguje na każde moje polecenie! Histerii nieomal dostaje, a ja razem z nią. Tłuc mam ją, czy co? Dosyć mam tych ciągłych wrzasków i tego smarkacza. Nie wiem, nie wiem już, co mam robić...

„Kłopoty to nasza specjalność”

Ja już nie wiem, jak mam z tym chłopakiem postępować... Ani prośbą, ani groźbą dotrzeć do niego nie można. W domu nie robi, nie uczy się, często wagaruje. Nie ma dla niego żadnego autorytetu, z nikim i z niczym się nie liczy. Wszystko wie najlepiej i oczywiście nikt go nie rozumie. A co tu rozumieć — walkoń i tyle! Dwój już tyle mała, że praktycznie nie ma szans na wyrzucenie się z nich do półroczu. Żeby jeszcze był tępy, ale skąd! Wszyscy nauczyciele mówią, że zdolny, tylko leń. I zawał ten rok jak nie. Żadna rozmowa z nim nie przynosi skutków, najwyżej kończy się awanturą, bo w końcu i ja nie wytrzymuję. Co się z tym chłopakiem dzieje? Uwziął się, żeby mi życie zatruć do reszty, czy co? Naprawdę nie wiem, jak z nim postępować...

* * *

Nieposłuszne, uparte, krnąbrne. Leniwe, wygodne, bez serca. Złośliwe, cyniczne. Przemądralne. Nasze dzieci. I nasze z nimi związane problemy wychowawcze. Problemy, które dzieci wnoszą w nasze życie już w momencie urodzenia. To banał, ale jakże prawdziwy: małe dzieci, mały kłopot. Duże dzieci, duży kłopot...

Nie zdarzyło się chyba nikomu wychować dziecka bezproblemowo. Kłopoty z dziećmi mamy wszyscy, tylko ich skala jest różna. Są takie, z którymi jakoś sobie radzimy, ale bywają i takie, wobec których jesteśmy bezradni. Zawsze potrafimy dostrzec, że z naszym dzieckiem dzie-

je się coś niedobrego, ale nie zawsze umiemy złu zaradzić. Choć próbujemy. Dociekamy przyczyn, usiłujemy spokojnie z dzieckiem rozmawiać, biegamy do szkoły, zamartwiamy się i... popadamy w coraz większe konflikty. Coraz mniej rozumiemy własne dziecko, coraz trudniej wytrzymujemy jego humory. Nie potrafimy doszukać się źródła problemów. Jakże często stwierdzamy: to było takie dobre dziecko. Było, ale nie jest. Dlaczego?

Bywa, że dziecko jest ciągle „dobre”. Ale stroni od rówieśników. Jest grzeczne, ale źle się uczy. Uczy się dobrze, ale niechętnie z nami rozmawia. Przykładów zresztą na to, że coś z naszym dzieckiem „nie tak”, jest bez liku. Każdy rodzic potrafi ułożyć z nich długą listę, ale jak sobie z tym radzić, wie mało kto.

Rodzice, na ogół nie szukają pomocy w poradniach wychowawczo-zawodowych. Niesłusznie chyba uważają, że jeśli w takiej poradni stwierdzą, że dziecko jest „w normie” — w sensie fizycznego i psychicznego rozwoju — to na żadną pomoc liczyć tam nie można. Sądzą najpewniej, że zdolnymi leniami nikt się nie interesuje. Pyskującymi egoistami też nie. Zaciętymi, zamkniętymi w sobie — także. Czyli ogromną większością. I takim rodzicom pozostają nerwy, kropelki upokajające, domowe awantury, bezsilność wobec krnąbrnego nastolatka i stereotypowe: ja sobie ręce urabiam po łokcie, a ty mi tak odpłacasz...

Czy z tego zaklętego kręgu nie ma wyjścia? W ogóle? Owszem, doświadczeniem

rodziców już odchowanych dzieci, że z tego się wyrasta...

Jest jeszcze jeden rodzaj rodzicielskich kłopotów, o których warto wspomnieć, choć skala ich niewielka: dzieci-geniusze.

„Ja mam takie utalentowane dziecko”. Więc koniecznie muzyka, język obcy (co najmniej jeden), kółko plastyczne, taniec itp. No, w takim przypadku wystarczyłaby akurat odrobina zdrowego rozsądku, który jednakże rzadko cechuje rodziców „genialnych” dzieci. Więc żyją z tymi swoimi kłopotami; czy zdąży dziecko z angielskiego na muzykę, z muzyki do Domu Kultury na rysunek... Rytm dnia podporządkowany jest zacięciom dziecka. A potem przeżywają rozczarowania, bo owa genialność gdzieś przepada.

I takim rodzicom też przydałaby się pomoc fachowca, który autorytatywnie określiłby w jakim kierunku naprawdę warto rozwijać uzdolnienia dziecka.

W wielu miastach od dawna, tak jak i w Słupsku działają placówki, o których rzeczywiście można powiedzieć, że kłopoty rodziców, to ich specjalność.

* * *

Psychologowie i pedagodzy proponują rodzicom:

- lepsze poznanie dziecka i jego możliwości,
- pomoc w rozwiązywaniu problemów szkolnych,
- ocenę dojrzałości szkolnej,
- korygowanie wad mowy,
- poradnictwo rodzinne,
- pomoc w rozwiązywaniu konfliktów w rodzinie,
- porady wychowawcze z uwzględnieniem uświadamiania seksualnego,
- fachowa literatura.

W tym syntetycznym ujęciu krzywe się wiadomość, że oto istnieje punkt, w którym fachowcy gotowi są pomóc rodzicom we wszystkich kłopotach, jakie sprawia dziecko. I to trudne, i to genialne. I ma być i duża.

Rejonowa Poradnia Wychowawczo-Zawodowa w Słupsku mieści się w sąsiedztwie Kuratorium Oświaty i Wychowania oraz Biblioteki Pedagogicznej w budynku dawniej szkoły podstawowej nr 10. Jest otwarta dla wszystkich. Bez skierowań, bez biurokracji. Jednym słowem przymiemy każdego, kto szuka pomocy dla swojego dziecka i dla siebie.

Pomoże znaleźć przyczyny naszych niepowodzeń wychowawczych, wskaże jak je

usunąć, poradzi, jak im zapobiegać w przyszłości.

Do psychologów w Poradni można przyjść z każdym problemem. Poczynając od dylematów najmłodszych mam — jaką zabawką powinno bawić się kilkumiesięczne dziecko — poprzez kłopoty rodziców przedszkolaków — wiadomo przecież, ile kłopotów potrafi sprawić i przedszkolak — do poważnych problemów związanych z bodaj najtrudniejszym okresem dojrzewania.

Wizyta w poradni nie nie kosztuje. Czasem wystarczy tylko jedna porada. Czasem powinno być ich więcej. Bywa, że zajdzie potrzeba spotkania psychologa z nauczycielem — pojedzie wtedy do szkoły. Niczego w Poradni się nie narzuca — co najwyżej sugeruje, poddaje pod rozważenie. O wszystkim zdecydować w końcu przecież rodzice. Także i o tym, czy zastosować się do rad psychologa. Przecież za swoje dziecko i jego wychowanie przede wszystkim oni odpowiadają. I od tej odpowiedzialności nikt ich nie zwolni.

Postawia więc w Poradni diagnozę, poradza co i jak robić. Niczego nie każe, do niczego nie przymusza. Bada tylko proponować. Nie dadzą także gotowej recepty skutkującej natychmiast, co nie znaczy, że swojej recepty nie zaleca. Choć niejedna może okazać się gorzka do przełknięcia. Bo jak wynika z wiedzy i doświadczeń psychologów, bardzo często, żeby nie powiedzieć zawsze, główną winę za kłopoty, jakie stwarza rodzicom dziecko, ponoszą oni sami. Na ogół nie są tego świadomi. A od tego, jak szybko i skutecznie taką świadomość dotrze do nich, zależy powodzenie wspólnego, podkreślimy — wspólnego, rodziców i psychologów działania.

Myślę, że właśnie dlatego tak często w rozmowie z dyrektorem Poradni, Bogumiłą Skoromoko słyszałam słowa: jesteśmy tu dla tych wszystkich, którzy chcą poznać swoje dziecko, dowiedzieć się, jak sobie z nim radzić, jak pomóc jemu i sobie.

* * *

Zachęcam więc wszystkich rodziców (i młodzież) z kłopotami do odwiedzenia Rejonowej Poradni Wychowawczo-Zawodowej. Jej adres: Słupsk, ul. Jaracza 18, telefon 239-60.

BOŻENA JAKIMOWICZ

Georges Bataille, nie żyjący już od ponad 25 lat francuski filozof, eseista, krytyk literacki i wreszcie pisarz jest właściwie w Polsce zupełnie nieznany. A przecież jego opowiadanie „Madame Edwarda” było jak na owe lata sporym skandalem literackim. Jakby go przeczuwając opublikował Bataille to opowiadanie pod pseudonimem.

go też od samego początku bohater opowiadania mówi o Edwardzie, iż „była całkowicie czarna, prosta, zatrważająca jak jama”. Spróbujmy prześledzić erotyczne wydarzenia z tym jednak zastrzeżeniem, iż tego rodzaju zabieg zubaża tę symboliczną i zmetaforyzowaną narrację.

Utwór Bataille’a opowiada o dziewczynie lekkich

dy był tak obsceniczny, jak jej ciało delikatne:

— Chcesz zobaczyć moje fartuszki? — zapytała.

Uczepiony oburącz stołu, odwróciłem się ku niej. Siedziała z rozwartymi udami, jedną z nóg trzymając w górze, aby bardziej rozewrzeć szparę, rozciągała na boki skórę palcami obu rąk. W ten sposób „fartuszki” Edwardy

W KRĘGU EROSA...

Madame Edwarda

Działo się to w 1941 roku, a cały nakład wynosił tylko 50 egzemplarzy! Kolejne pięćdziesiąt otrzymali czytelnicy w 1945 roku. Już jednak wcześniej będąc związany z surrealistami propagował pogląd, iż poznanie człowieka musi polegać na ukazywaniu tego, co w nim plugawe, skatologiczne i zwierzęce. Wtedy też powstały jego pierwsze teksty erotyczne: „W.C” (którego rękopis sam niszczy), „L’anus solaire” („Odbyt słoneczny”), „Histoire de l’oeil” („Historia oka”).

Powróćmy do „Madame Edwardy”, utworu poświęconego realizacji jednej obcesyjnej myśli, dającej się sprowadzić do następującego zdania: **SENSEM EROTYZMU JEST SMIERC**. Całe opowiadanie podporządkowane jest temu szczególnemu poglądowi znanemu nam chociażby z twórczości Sade’a. Już we wstępie do „Madame Edwardy” Bataille wyznaje: „rozkosz otwiera perspektywę, która jest zgubną dla ducha”. Dlate-

go też od samego początku bohater opowiadania mówi o Edwardzie, iż „była całkowicie czarna, prosta, zatrważająca jak jama”. Spróbujmy prześledzić erotyczne wydarzenia z tym jednak zastrzeżeniem, iż tego rodzaju zabieg zubaża tę symboliczną i zmetaforyzowaną narrację. Utwór Bataille’a opowiada o dziewczynie lekkich obyczajów, uprawiającej nierząd, albo, mówiąc innym językiem, o dziewczynie odnajdującej w swym erotycznym nienasyconiu rozdarcie na biologię, ciało i ich przeciwieństwo — śmierć. Błąkający się po paryskich uliczkach bohater odnajduje Edwardę w lokalu gdy, naga i otoczona rojem dziewcząt pokazywała język: „Jak na mój gust była czarująca. Wybrałem ją — usiadła koło mnie. Jedwie miałem czas zamówić coś u kelnera, objął mnie Edwardę, która się poddała i dwoje naszych ust złączyło się w chorobliwym pocałunku (...) W pewnej chwili jej ręka zeslizgnęła się, pękłem nagle jak szyba i zatrząsnęłam się w spodniach, poczułem równocześnie, że Mme Edwardę, której pośladki trzymałem dłońmi, przesywa rozdzierający dreszcz. W jej powiększonych, wywróconych oczach było przerażenie, w krtani przeciągły skowyt (...). Z otępienia wyrwał mnie jakiś głos. Głos Mme Edwardy

spełzały na mnie, wiochate i różowe, pełne życia jak odrażająca ośmiornica (...).

— Całuj! — rozkazała.

— Ale... — zaprotestowałem — tak przy ludziach?

— No pewnie!

Drżałem. Patrzyłem na nią, bez ruchu, uśmiechała się do mnie tak słodko, że drżałem. Wreszcie uklęknałem, zachwiałem się i złożyłem wargi na jej żywej ranie. Jej nagie udo pieściło mi ucho: zdawało mi się, że słyszę szum morskich fal, taki dźwięk słyszy się przykładając ucho do wielkich muszli. W absurdalnym świecie burdelu i rezerwatu, jaki mnie otaczał (chyba dusiłem się, byłem czerwony, oblewał mnie pot), trwałem w dziwnym zawieszeniu, jakbyśmy — Edwarda i ja — zagubili się w wietrznej noc nad brzegiem morza”.

Po tej dłuższej sekwencji dziejącej się w burdelu Edwarda wychodzi „na zewnątrz” i rozpoczyna się nocna podróż ku owej „zatrważającej jamie”, będącej przecież niczym innym

jak symbolicznym grobem, śmiercią. I w jej klimacie utrzymana jest całkowicie ostatnia scena opowiadania, kiedy to Edwarda każe się wieść do Hal i tam oddaje się szoferowi taksówki:

„Mężczyzna siadł obok mnie. Następnie ona, lubieżna, wpadła na niego, ręką wetknęła szoferowi w siebie. Siedziałem nieruchomo, przyglądając się; jej ruchy były powolne i ledwo dostrzegalne, co sprawiało jej widocznie wzmogoną rozkosz. Ten jej odpowiadał, brutalnie podając się całym ciałem; zrodzony z intymności, ordarty do naga, uścisk tych dwóch istot powoli osiągał punkt zbytku, gdzie serca nie stają. Odchylony do tyłu kierowca ciężko dygotał (...) Edwarda, wyprostowana, siedziała okrzepniętym na swym drzewie, z głową odrzuconą do tyłu, luźno zwisały jej włosy. Podtrzymując ją w karku, zobaczyłem wywrócone białka oczu. Wypreżyła się na pomocnej ręce i napięcie spotęgowało rżenie. Oczy jej znów zaczęły widzieć, przez chwilę zdawała się nawet uspokajać. Dostrzegła mnie, w tym momencie zrozumiałem z jej spojrzenia, że wraca ze świata niemożliwości (...). I wszystko się ze sobą wiązało w owym spojrzeniu ze snu: nagie ciała, palce, którymi się rozwierała, mój lęk i wspomnienie śliny na wargach, nie było nic, co by nie przyczyniło się do tego ślego zapadania w śmierć (...).

Przeszedł ją ostatni, przeciągły dreszcz, po czym jej ciało, spienione jeszcze, rozprężyło się; w głębi taksówki szofer po zbliżeniu leżał jak kłoda. Ciągłe podtrzymywałem Edwardę w karku; członkiem wysunął się, pomógł Edwardzie się położyć, otarłem z niej pot.

Wzrok miała martwy, nie stawiała oporu. Zgasilem światło; zapadła w półsen jak dziecko. Musiała nas zmorzyć ta sama senność, Edwardę, szofer i mnie”.

„Madame Edwarda” kończy się znamiennymi słowami: „Skończyłem. Ze snu, w którym trwaliliśmy, niedługo, w głębi taksówki, obudziłem się chory, ja pierwszy... Reszta jest ironią, długim oczekiwaniem na śmierć...”. Lektura opowiadania przekonuje nas jednak, że to oczekiwanie na śmierć musi wcześniej poprzedzać „krzyk ciała” możliwy dzięki erotyzmowi. To ciało umożliwia nam otwarcie na śmierć. Natomiast wszelkie zakazy pętają ciało — zdaje się mówić Bataille — dlatego należy je przekraczać, nie likwidować, ale właśnie przekraczać. Gesty przekroczeń nie istniałyby bez zakazów i pomimo pozornej sprzeczności możemy w tym związku odkryć swoistą logikę. Bataille powie w tym miejscu: „Istota erotyzmu dana jest w niemożliwym do rozwikłania związku przyjemności i zakazu. Nigdy w ludzkim świecie zakaz nie pojawił się bez objawienia przyjemności, ani nigdy przyjemność bez poczucia zakazu”.

Mme Edwarda chce nas przekonać, że im ten nie-redukowalny konflikt erotyzmu jest iaskrawszy tym jesteśmy bliżej ciała, natury, biologii, a więc w końcu i śmierci. To prawda, że opis jej zachowania może nawet wzbudzić odrzę. Bataille jest jednak trafnym obserwatorem ludzkiej natury i chyba trzeba zgodzić się na zauważony przez niego związek odręzy z przyjemnością: „Nie istnieje taka postać odręzy, w której bym się nie dostrzegł pokrewieństwa z pożądaniem”.

Tego rodzaju rozumowanie możliwe jest dzięki ogłoszeniu śmierci Boga, a właściwie postawieniu siebie na jego miejscu. Edwarda powie: „... jestem Bogiem”. Odtąd jej ciało zaczyna nie tylko przyjmować mężczyzn, ale zaczyna się otwierać na śmierć. Miłość, a właściwie erotyzm zostaje skojarzony z cierpieniem, zbrodnią i śmiercią: „Nawet namietność szczęśliwa powoduje tak gwałtowny nieład, że szczęście (...) bardziej niż rozkoszy bliskie jest swemu przeciwieństwu: cierpieniu”.

Po wielu latach proza Bataille'a, kiedyś ciesząca się sławą „literatury przekłętą” może okazać się dość blada wobec tego, co tworzy pokolenie współczesnych Nienackiemu. Trzeba jednak pamiętać, iż mamy tu do czynienia także z filozofem, o którym tu nie zostało nic powiedziane, i że lekturze jego prozy powinno towarzyszyć czytanie prac eseistycznych, takich jak chociażby „Erotyzm”, „Literatura i zło”, „Doświadczenie wewnętrzne” (do tej pory nie przełożono żadnej z jego książek).

Bataille — obsesyjnie potwierdzający w swej prozie i esejach sąd iż „prawda erotyzmu jest tragiczna” — ujawnił dwuznaczność ludzkiej seksualności będącej, jak chce Susan Sontag, „siłą demoniczną” popychającą nas często do marzenia o śmierci. Cokolwiek by się jednak nie powiedziało, wydaje się że problemem najistotniejszym dla człowieka jest dokonanie wyboru między dwoma słowami: miłość i seksualizm. A autor „Madame Edwarda” prowokuje nas do tego, by wybór ten uczynić swoim własnym.

ZBIGNIEW PAKUŁA

■ Niezwykle interesującą rozmowę w styczniowym numerze „Odry” z fadusem Konwickim przeprowadziła Elżbieta Sawicka. Autor przez kilka ostatnich lat nieobecny w oficjalnym życiu literackim wydał w Czytelniku „Nowy świat i okolice” a jego książka „Bohiń” otrzymała nagrodę miesięcznika „Odra” za rok 1987. Na pytanie o przyczyny wyjścia z podziemia Konwicki odpowiada: „Mnie się zdaje, że dla pisarza jest dużo lepiej, kiedy nie jest uzależniony. Kiedy chodzi własnymi drogami i nie ulega naciskom, jakie zdarzają się w każdej sytuacji, w każdym środowisku i w każdej orientacji politycznej. Czulem potrzebę pewnej swobody. Oczywiście człowiek nigdy nie jest swobodny do końca, ale w tej chwili jestem jakby ze wszystkiego wywikłany. W nic się nie dałem wciągnąć”.

W dalszej części wywiadu Konwicki opowiada o ewentualnym wystawieniu na deskach Teatru Dramatycznego jednej z powieści wydanej w obiegu nieoficjalnym przechodząc później do bardzo ciekawych sądów na temat „Dziadów” (zamierza je sfilmować) i romantyzmu, który — według pisarza — jest istotą „polskości”: „Jak wyjaśnić zjawisko, o którym wielokrotnie pisze prof. Maria Janion, wszechwładzy i potężnej presji romantyzmu do dziś? Sam kiedyś podejrzewałem, że to może tylko taka mania polonistyczna, lekka dewiacja wynikająca z pasji poszukiwawczej, z pasji tropienia i wynajdywania wśród pisarzy mediów romantycznych. (...) My jesteśmy w szponach polskiego romantyzmu. My nie możemy przed nim uciec ani się od niego oderwać.

Cała nasza męka moralna, całe nasze wewnętrzne napięcie: jak postąpić, jak się znaleźć wobec zjawisk, w które się ciągle wplątujemy — wszystko to wynika z respektowania kodeksu romantycznego. Cały czas działamy i postępujemy w myśl zakazów i nakazów polskiego romantyzmu (...) zobaczyłem siebie w wielkim pochodzie ofiar romantyzmu. Zobaczyłem siebie: jak nieświadomie wykonuję pewne gesty, powtarzam pewne zachowania, a nawet, jak myślę, nie wiedząc, że to wszystko mieści się w ramach kodeksu nakazów i zakazów romantycznych. Odczułem to naraz bardzo namacalnie. Zacząłem też rozumieć nasze zachowanie zbiorowe, szczególnie np. tuż przed „Solidarnością”, w chwili wybuchu „Solidarności” i w momencie — jak by to nazwać? — zadanego jej gwałtu, a potem także w okresie demobilizacji tego zjawiska, zacierania czy osłabiania”.

Całą tę rozmowę kończy następujące wyznanie: „(...) nie jestem w stanie wywołać w sobie takich emocji, które by mnie uczyniły bojownikiem jakiegś jednej idei czy kibicem jednego wątku myślowego. Ja widzę wiele różnych racji. Zadecydował pewnie o tym mój rodowód, korzenie. Rosłem wśród wielości i różnorodności — ras, języków, wyznań i tradycji. Stykałem się z wieloma mentalnościami. Chyba to jest przyczyną, że jestem pod starość łagodnawy. Ja chcę, żeby było dobrze... Nie czuję się związany z żadnym obozem ideologicznym ani literackim. Jestem związany tylko z małym regionem na północo-wschód od Wilna, z którego zaczerpnąłem jakiegoś soku, ale jeszcze nie wiem do końca, czym były one zatrute”.

■ Pozostając nadal w kręgu rozmów odnotujemy rozpoczęty w ostatnim ubiegłorocznym numerze miesięcznika „Literatura” druk cyklu „Rozmów z Miłoszem” prowadzonych przez Aleksandra Fiutę, badacza twórczości autora „Ziemi Ulro”. W tym pierwszym spotkaniu Czesław Miłosz opowiada z dużą szczerością o swych gimnazjalnych latach, tak chociażby oceniając wyśmiewaną przez Gombrowicza sanacyjną oświatę: „(...) dla mnie gimnazjum jest zupełnie nieśmieszne, to znaczy i poważne i śmieszne, ale dokładnie w tym danym stopniu, co uniwersytet i co pozostałe życie. To znaczy kiedy się jest w gimnazjum, kiedy się jest w szkole ma się olbrzymie rewolty przeciwko systemowi, któremu się jest poddanym. Jest się w stanie właściwie wściekłości, która zmienia się w zaleźność od naszej pozycji, jaką mamy w klasie. Kiedy znalazłem się w pierwszej klasie gimnazjum (...) natychmiast zostałem pierwszym uczniem, dlatego że byłem znakomicie odcytany w porównaniu z moimi rówieśnikami. Po prostu miałem język (...) W ciągu szkoły średniej stopniowo spadałem coraz niżej: najpierw byłem drugim, potem trzecim, potem czwartym, potem coraz, coraz niżej, aż prawie na sam koniec, z okropnym stopniem ze sprawowania (...) Okropne: „Awanturnik, biorący udział w burdach na korytarzu i w klasie”; podpalaliśmy papiery, nauczyciele mieli z nami straszne historie! A potem — stopniowo do góry (...). Ja przeszedłem przez okres straszliwej rewolty, nienawiści w ogóle do władzy, bo to była nienawiść do wszelkiego autorytetu i wszelkiej władzy.

PO RAZ PIERWSZY NA ŁAMACH „GRYFA”

NOWE WIERSZE

Sławomir

Zadebiutował w 1976 roku w lokalnej prasie i w Polskim Radio. Aktualnie jest studentem II roku Studium Scenariuszowego przy Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Łodzi. Swoje wiersze publikował m. in. na łamach „Kultury”, „Okolic” a także w słupskim almanachu „Obecność”. Jego nowela „Wyspy samotne” (tytuł roboczy) zakupiona przez zespół filmowy „Zodiak” ma zostać skierowana do realizacji. Na jej podstawie przygotował powieść zatytułowaną „Ziemia zakazana”.

Ma 35 lat, żonaty, jedno dziecko, lubi wędkować.

* * *

zostań
a ocalę dom ten
i ocalę sztandar
zakurzone obrazy i miejsca na
ścianach

puste

zostań
a będzie ci dane:
wilgotność ciemności
i miejsce na pianę w ustach
i lustro

zostań
i bądź nam jak skała
jak opoka
tyś jest nasz orzeł
tyś nasz sokół
zgarbiony

twoja ojczyzna
z kawałka krzyża
z krzyku
kielbasy
i kilku powstań
twoja ojczyzna z drobin piachu
i niepotrzebnych nikomu
rozstań

zostań

* * *

Za późno. Już miałem
co mieć chciałem. Już
I piekło i ciemność.
stało się ciałem.

Już jest za późno. Na
i na życie. Jest tylko
Nostalgia i ból. O po

jest jeszcze niepewność

Są tylko ściany. We m
Puste obszary składa

miejsca wytarte z w

Już tylko sen między
tylko ciemność nad cie

pamięć o zapomnianym

wał się ściany

lipiec 1982 r.

Wiersze Jolii Sosnowskiej

Joli

ANDRZEJOWI TURCZYŃSKIEMU

* * *

WIERSZ DLA WOLANDA

sprzedałem duszę i sprzedałem ciało
i piekło sprzedałem bo słowem się

krzyże na słowach i słowa
na krzyżu
i włóczę i topór i dom mój
w paryżu

i małgorzata już taka nie młoda
i w ogóle
szkoda

teraz muszę na nowo
z głupim behemotem przewrócić to
i owo

przetawić tamto i owamto
spalić
co się da i nie da

i może wtedy uda mi się odzyskać
spokój
i bezboleśnie udać się do raju

plonąc

Przeminiesz. Przeminie wszystko
razem
z tobą. Jak śnieg w kałużach
marcowego
błota. Tak jak złudzenia przeminie
wszystko.
Jak pamięć dawno odbytych
spotkań.

Nic nie zostanie. Pożółknie papier
i wyblakną zdjęcia. Rozmowy
długiej głęboką
nocą nie wspomni nikt. Popłyniesz
cichy
dziurawą łodzią. Aż do zaśnięcia.
W świt.

Nic nie ocalisz. Przeminie wszystko
i żaden ślad tu nie zostanie. Nawet
twój krzyk
będzie skomleniem. Zostaną tylko
puste
miejsca. I reszta też będzie
milczeniem.

27 listopad 1982.

Rozmowa z BRONISŁAWEM ZIELIŃSKIM

Nie uznaje żartów dla żartów

— Jest pan laureatem nagrody „Trybuny Ludu” za całokształt twórczości literackiej. Czy jest to pana pierwsza nagroda tego typu?

— Otrzymałem wiele nagród, między innymi Państwową Nagrodę Literacką III stopnia, nagrodę Ministra Kultury i Sztuki, a najmiłszą była dla mnie Nagroda Miasta stołecznego Warszawy, którą otrzymałem w 1978 roku.

— Wróćmy jednak do początków pana twórczości. Kiedy pan zadebiutował?

— W październiku 1936 roku w warszawskim tygodniku „Kronika Polski i świata” ukazał się „Obrazek z manewrów” ilustrowany przez nieżyjącego już malarza Włodzimierza Bartoszewicza. I to prawdziwa data mego debiutu. Nie śniło mi się wtedy pisanie zawodowe i nie przychodziło do głowy, że za dziesięć lat zadebiutuję naprawdę opowiadaniem z wojny i obozów. No, nie będziemy sobie opowiadać ani Września, ani przygody jenieckiej. Po prostu dlatego, że te dwa frag-

menty życorysu należą do przeżyć zupełnie innego człowieka.

Pierwsze zbiory opowiadań, mówię o tomikach „Dno miski” i „Przed świtem”, miały dobrą prasę. Największą satysfakcję sprawiło mi jednak zdanie Zbigniewa Żałuskiego, który napisał w „Przepustce do historii”: „kilka świetnych i bardziej niż inne pełnych opowiadań Zielińskiego”. Chciałem pokazać wojnę przeżytą i prawdziwie zapamiętaną. Byłem więc rad, że zostałem właściwie zrozumiany.

— Pana opowiadania o wojnie miały charakter satyryczny. Ten ton w takiej tematyce jest rzadkością?

— Mówi pani, że o wojsku piszę satyrycznie? Nie takie to proste. Wychowałem się w Polsce niepodległej, w tradycji nakazującej szacunek dla wysiłku zbrojnego. Tyle Polski, ile wojska, to nie było niedzielne gadanie. Przez wiele lat wojsko było wielką nadzieją niepodległości. Szukano więc polskiego wojska w kraju i po całym świecie. Właśnie Wrześień ujawnił wartość bez-

sporną: instynkt społeczny, czyli umiejętność odróżniania spraw ważnych od spraw najważniejszych. Polska przedwojenna, mimo rozpowszechnianych dziś mitów, nie była ogródkiem jordanowskim marszałka Piłsudskiego. Mimo zwaśnienia politycznego nie zabrakło we wrześniu ludzi do obrony Państwa. Tak Państwa! Pojęcie, że wszystko się należy, że można brać dając w zamian byle co, było nam zupełnie obce. Kiedy słyszę dziś, że służba wojskowa zabija indywidualność młodego człowieka, to przecieram uszy. A cóż to za indywidualność, która pada nosem po dwóch latach dyscypliny?...

Nie ma w moich opowiadaniach satyry na żołnierza. Są groteskowe opowiadania z manewrów czy koszar. Zresztą istnieje delikatna różnica między satyrą a groteską. Przy najmniej dla mnie.

— Czy po tylu latach wraca pan jeszcze do tej tematyki?

— Nie wracam do Września, ale książkom o tematyce wojennej poświę-

cam wiele mych „Gawęd z pretekstem”, publikowanych od prawie trzydziestu lat w „Nowych Książkach” pod szyldem „Wycieczki balonem”. I tu uwaga, której proszę nie przeoczyć w druku: „Nowe Książki” to jedyne czasopismo, które wiernie służy polskiej książce i jest też jej przewodnikiem dla cudzoziemców, zainteresowanych naszą literaturą.

— Śledząc pana twórczość można stworzyć określony typ bohatera: jest to spryciarz, który lekceważy normy moralne. Człowiek, który rzadko przegrywa...

— Czytelnik w moich dawnych opowiadaniach wojennych odnajdzie i do wódcę Westerplatte, i Wilno roku 1939, i wiele epizodów, których kontury czas już pozacierał. Wspominam o tym dlatego, że zabierając się do pisania przyjmuje się określone obowiązki. Mówię o zobowiązaniach wobec czytelnika, literatury i samego siebie. Literatura nie jest punktem usługowym, pod wpływem beletrystyki nic nie wyrośnie z piątku na sobotę. Nie oznacza to jednak, że wolno się wykrecać i obowiązki zbywać wzruszeniem ramion. Lubię Tatry i czułbym się nie w porządku gdybym na lubieniu poprzestał. Napisałem więc „W stronę Pysznęj”.

Co zaś do bohatera, to mogę powiedzieć tyle: Interesują mnie sytuacje, w których człowiek się znajduje lub znaleźć może. Mój bohater — narrator (narracji w pierwszej osobie proszę nie traktować jako natrętnej obecności autora!) jest uczestnikiem wydarzeń, jest umiarkowanym optymistą i powściągliwym

komentatorem. Otóż to i facygujące, ale w ogólnym rozrachunku chyba opłacalne. I oto jesteśmy już blisko groteski. Można się wytłumaczyć naturalną skłonnością do takiej formy. Nie byłaby to jednak prawda.

— Jaką rolę przypisuje pan grotesce?

— Nie uznaję żartów tylko dla żartów, ani dla obracania wszystkiego w żart. Uważam jednak, że gadanie z tak zwaną kamienną powagą często sprawia, że najzaciejsze prawdy więdną w locie i nie osiągają celu. No więc ta wstydliva groteska... Sądzę, że uwalnia prozę od nadmiaru zbędnych słów, że pobudza wyobraźnię, a tu jest dziś artykułem pierwszej potrzeby. Brak wyobraźni powoduje, że co chwila skazani jesteśmy na „myślenie wstecz”.

Brak wyobraźni powoduje również, że prawdziwy obraz ginie z oczu, widzi się wtedy tylko to, co w tym sezonie widzieć wypada.

— W swej twórczości sięga pan do wspomnień z dzieciństwa. Wyobraźnia dzieciństwa często jest eksponowana przez literaturę, jest to swoista moda...

— Mówi pani o wspomnieniach z dzieciństwa, że takie modne. Kogo interesuje moda niech czyta żurnale lub niech chodzi od jednej „Mody Polskiej” do drugiej. „Kielbie we łbie” wydałem dwadzieścia pięć lat temu. Domyśla się pani, że byłem wtedy młodszy. W każdym wieku człowiek jest dorosły. Dorosły, ale co rok inaczej. Kto tego nie rozumie, mo-

że sprzedąć maszynę do pisania. To pod własnym adresem, bo piszę tylko na maszynie. Muszę widzieć tekst.

— W wyobraźni erotycznej, która również jest obecna w pana utworach, nie można dopatrzeć się czegoś niestosownego. Wspominam o tym dlatego, iż szczególnie od kilku lat ta tematyka jest często wulgaryzowana...

— Wyobraźnia erotyczna — trudno mówić na ten temat. Poruszając ten problem, łatwo popaść w trywializm.

— I tradycyjne pytanie: Nad czym pan obecnie pracuje?

— Mogę wymienić tytuły „Dziennik podróży do Nieba”, „Zmierch w pokoju dzieciennym”, „Mały pasterz słoni”, „Wszystko spóźnione! Wykręcam się różnymi kłopotami, ale prawdziwa przyczyna jest taka: u mnie proza dojrzewa wolno, bardzo wolno. Zazdroszczę ludziom szybkiego pióra. Zazdroszczę, a czasem nie zazdroszczę.

Co jeszcze? Recenzje wewnętrzne dla wydawnictw, najczęściej dla „Iskier”, bo to stała współpraca i naturalnie, felietony dla „Nowych Książek”. Pomijam wstępy czy posłowania, to raczej okazjonalne prace.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:

ZDZISŁAWA

ORŁOWSKA-POGORZEL-

SKA

Z „Kopalińskim” na bezludnej wyspie

W słupskich księgarniach pojawiło się drugie wydanie „Słownika mitów i tradycji kultury”. Mimo oszalałej ceny (4500 zł) sprzedano tę książkę jak przysłowiowe gorące bułeczki. Świadczy to o nie słabnącym zainteresowaniu tego rodzaju wydawnictwami.

Ukazanie „Słownika mitów i tradycji kultury” stało się już w 1985 roku wydarzeniem wielkiej miary. Przez krytykę i czytelników uznany został książką roku. Słownik jest owocem iście benedyktyńskiej pracy jednego człowieka, w czasach gdy nad podobnymi źródłami informacji pracują całe sztaby uczonych, Instytuty Literackie, itp.

Brak było, przynajmniej u nas — kompendium przybliżającego i zbierającego w jedną całość humanistyczne dziedzictwo, które jawi się nam jako coś tajemniczego z czym obcować mogą wybrani, Polski czytelnik, który pragnąłby „pójść tropem jakiegoś słowa w którym domyśla się ukrytych znaczeń” natrafił na podstawową trudność w postaci braku odpowiedniego przewodnika. Słownik mitów... — na tym polega między innymi jego wyjątkowe znaczenie — spełnia tę rolę z powodzeniem. Stanowi bardzo ambitną, pożyteczną próbę skompletowania rozproszonej wiedzy humanistycznej, urasta do miana Wielkiej Księgi Kultury przede wszystkim europejskiej, śródziemnomorskiej, narodowej, ale również kultur pozaeuropejskich, choć to

w znacznie ograniczonym zakresie.

Trudno byłoby znaleźć do napisania tej książki kogoś bardziej kompetentnego i predystynowanego od autora „Słownika wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych”, „Księgi cytatów z literatury pięknej” czy serii „Kotów w mroku” (dziejów powieści i nazw). Władysław Kopaliński to wszechstronny erudyta, poliglota, tłumacz literatury anglosaskiej, filolog klasyczny, znany dziennikarz, felietonista. A ponadto człowiek-instytucja.

Kopaliński zaznacza we wstępie, że Słownik... zrodził się jako rezultat latami gromadzonej wiedzy oraz subiektywnego gustu, nie mniej krytycy i recenzenci doszukiwali się niekonsekwencji w doborze haseł, jednakże w niczym nie obniża to wartości dzieła. Trudno aby słownik zaspokoił wszystkie oczekiwania. Tym bardziej, że jest to pierwsza tego rodzaju książka na polskim rynku wydawniczym.

Co składa się na zawartość hasłową „Słownika mitów...”, a jednocześnie przynależy zdaniem autora do tradycji kultury? Znajdują się w nim hasła poświęcone: postaciom i wydarzeniom z Biblii, bóstwom i bohaterom mitologii, bohaterom legend, sag, eposu, romansów, poematów, pieśni, żywotów, bajek, folkloru, tradycji ludowej, ludziom otoczonym legendą historyczną, słynnym kobietom, dynastiom, rodem, bitwom. W słowniku można znaleźć: miejsca i budowle historyczne,

arcydzieła sztuki, popularne pieśni ludowe i narodowe, opery, operetki, musicale, postaci literackie, teatralne.

Powszechnie używamy przysłów nie znając ich genealogii, np. wyszedł jak Zabłocki na mydle — tu przytacza Kopaliński anegdotę o szlachcicu Zabłockim, który spławił towary Wisłą do Gdańska — a skrzynie z kosztownym mydłem ukrywał na dnie dla uniknięcia cła, aby się na koniec przekonać, że cały przemycany towar wymyślił się mu po drodze... Skąd wzięło się przysłowie „plecie jak Piekarski na mękach”, z czym kojarzy się „pawli tron”, kim był Paskuda-Zalotnik i skąd się wzięły sufrażystki, a także dlaczego Marek tłukł się po piekle?

Na te i inne pytania odpowiada „Słownik mitów i tradycji kultury”. Kopalińska wiedza, przebogate źródło informacji na 1360 stronach pięknie wydane (druk w Jugosławii) słownika. I jeśli będziecie Państwo mieli okazję wzbogacenia swego księgozbioru o tę niezwykłą pozycję, polecam gorąco. Gdyby przyszło mi spędzić resztę życia na bezludnej wyspie i miałabym do wyboru jedną tylko książkę, to z pewnością wybrałabym „Słownik mitów i tradycji kultury”. Z Panem Kopalińskim nie nudziłabym się na pewno.

oprac.

ELŻBIETA WISŁAWSKA

Kopaliński Władysław. Słownik mitów i tradycji kultury. Wyd. 2 W-wa 1987 PIW s. 1360, cena 4.500 zł.

Na szlakach brandenburskiej agresji (21)

Okres między proklamacją w Barze (29 lutego 1768 r.) udiwnionego, wręcz anachronicznego w swym „wyznaniu wiary”, tekstu programowego spiskowców pod nazwą „Konfederacja prawowitnych chrześcijan katolików rzymskich” a kapitulacją Wawelu (23 kwietnia 1772 r.) i Jasnej Góry (18 sierpnia 1772 r.) — ostatnich, jakże symbolicznych, redut konfederackich (już po skonkretyzowaniu formy dyktatu i zasięgu grabieży przez mocarstwa rozbiorowe) — znaczony był katastrofalną lawiną wypadków i rozpalających się (jak i gdzie popadnie) ogni wojny domowej przeciw królowi i wojennego wyzwania rachitycznego partyzanckiego pospolitego ruszenia szlacheckiego rzuconego wschodniemu imperium i jego zawodowej armii drugiej połowy XVIII w.

Ile ładunku logicznego kryterium historycznego (apriorycznego) tkwi w założeniu, iż program reform wewnętrznych pojawił się w Polsce zbyt późno, aby zapobiec rozbirom (A. Micewski); a i wiedząc aż nadto dobrze, że był on konceptualistycznie wielowymiarowy wskutek ścierania się odmiennych przesłanek i tendencji, w większości przypadków prób wdrażania różnych planów i projektów zakorzeniony za płytko w źle, naprędcie przysposobionej i nieurodzącej glebie zanarchizowanej niwy publiczno-państwowej Rzeczypospolitej.

Jak można udowodnić tezę, rozstrzygnąć wielkiej wagi historyczny dylemat (rzucając na szalę wciąż obecnej dysputy coś więcej niż tylko własne przekonania), że istniała chociażby minimalna — ale jednak — szansa powodzenia w praktycznym wypełnieniu części z podstawowych założeń „realpolitik” Stanisława Augusta. Chodziło mianowicie o to żeby — uwzględniając, przez wszystkich racjonalnie myślących i przewidujących, obiektywnie istniejący stan stosunków polsko-rosyjskich i faktyczną dominację cesarstwa Katarzyny II w Europie środkowo-wschodniej i środkowej — taktycznie, do czasu (tj. z akceptacją ogólnopolitycznych realiów danego czasu) „tylko zdrowsoroządkowo podporządkować się obcej przemocy, aby uniknąć upodlenia”; i to rozumianego nie tylko jako obrona przed stanem ostatecznego zniewolenia ośmieszającego

do reszty podstawowe atrybuty samoistności polskiego organizmu państwowego i godność jego monarszej reprezentacji w nienaruszonych granicach, lecz — co najważniejsze — by nie stało się ono równoznaczne z totalną katastrofą Rzeczypospolitej.

Konkretyzując, czy nasz ostatni król i jego najgorliwsi popiecznicy dokonali trafnego wyboru najrozsądniejszego (a i przebiegłej, wspartej tak potrzebnym w Polsce zmysłem zimnej kalkulacji i wyrachowania) taktyki obronnej, licząc na przetrwanie i na szansę częściowego chociażby ugruntowania procesu przebudowy. Polegała ona (owa taktyka) na zrecznym forsowaniu wyrażonej spójności polskiego wewnętrznego programu reformatorskiego (konsekwentnie, niezależnie i jakby na przekór poniesionym już, lub spodziewanym porażkom) z lojalnym wypełnianiem konkretną treścią czynów wiodącej koncepcji polskiej polityki zagranicznej (nie mającej w końcu lat sześćdziesiątych XVIII wieku chyba żadnej alternatywy, poza cudownie zrządaną klęską i załamaniem się mocarstwa Rosji) zakładającej ściśle jej powiązanie ze strategią polityki zagranicznej najsłynniejszego sąsiada, który aktualnie rządził się przecież w Polsce prawie tak jak chciał („wicekról Repnin”).

Przypomnieć wypadnie nasze spostrzeżenia (por. „Gryf” 1987, nr 8), że bez względu na to do jakiej roli i posługi Rosja mogła i chciała w ostateczności Rzeczypospolitą przysposobić, to jednak była ona przez carycę widziana, i na początku 1768 roku, przede wszystkim jako szeroki bastion zaporowy przed państwami zachodnimi, bardzo ważne zaplecze strategiczne i (w założeniu nie tylko potencjalny, lecz rzeczywisty, w każdej chwili dostępny) rezerwuwr materialny i ludzki; co prawda w pewnym stopniu już zniewolony, ale w bezpiecznym jeszcze oddaleniu od niebezpieczeństwa ostateczności, od upodlenia skrzepowania łańcuchem bezpaństwowej niewoli.

Konfederacja barska, wymierzona zapiekle w króla pod protekcją carycy i jednoznacznie przeciwko Rosji, przekreśliła możliwość zawarcia z nią (forsowanego przez obóz królewski) sojuszu poli-

tyczno-wojskowego — wprawdzie, z czego zdawano sobie sprawę, ewidentnie nierównoprawnego, bo innym jeszcze być nie mógł — ale sojuszu, który (gdyby doszedł do skutku) zagwarantowałby na pewno rozwiązanie lepszego od najgorszego upodlenia, które dokonać się miało na oczach całego najbardziej cywilizowanego kontynentu w trzech odsłonach dramatu wielkiego państwa i narodu w sercu Europy, rozwiólczonych na trzy strony świata.

Zanim skończył się pierwszy akt tragedii państwa, na jego scenę — ze wszystkich zaułków, zarówno szlachetną porwyczością oświeconych, jak i z ciemnych zakamarków polskiego świata politycznej dywersji — wyszli dobrowolnie, lub zostali zniechęceni wypchnięci zarówno pewni swych racji, przepełnieni gloryfikacją słusznosci swojego rycerskiego posłannictwa względem ojczyzny, czarodzieje losu, jak i różne totumfackie indywidua u boku swych wielmożów rwących się do korony, by w tej liczniejszej — niż zazwyczaj — obsadzie zagrać wymarzone a dla większości zupełnie nieznane role w dramacie pogłębiającego się rozdarcia narodu, który sięgnął po środki bratobójczych i samobójczych zmagani.

Ułomni aktorzy niedouczonych ról głównych i epizodycznych przypadków w teatrze dziejów Rzeczypospolitej 1768—1772 byli — rzecz można — naznaczeni wyraźnym syndromem jakże fałszywego poczucia prawości i sumiennosci patriotycznej, różnorakiego rozumowania kategoriami nonsensu, w euforii i przy zatraceniu (z nihilistycznych inspiracji u jednych, lub z zabobonnej cianoty u drugich) wszelkiej miary w zaspokajaniu łaknienia swojego „realizmu” politycznego. Jakże wielu wśród nich, w tamtej dobie, było szarlatanów z gotową receptą na życie jakoby godziwe i działania użyteczne, której wykupienie prowadziło przez chaos walki i przemocy, przez stawianie swoich racji na ostrzu szabli i rapiera, lub też przez dosłowne (a symbolicznie wstrząsające i wzbudające gorzki uśmiech politowania) nabijanie ostatniej berdyżowskiej armaty przez ostatniego rycerza Europy (Kazimierza Pułaskiego) odłamkami szkła i guzikami. Bo i tak tragicomicznie kończył się już w połowie 1768 roku, na kresowych żyznych równinach, wstęp do dialogu między iluzją a rzeczywistością.

Lecz młodzi konfederacy harcownicy, uparcie i wbrew wszystkiemu, nie bacząc że tak wielu jest wśród nich nieudacznym chorążym patriotyzmu polskiego, którzy niemal całą robotę zwalili na Pana Boga, wzniciali nowe ogniska buntu w różnych stronach Rzeczypospolitej. Nie-

straszne im były lotrostwa gen. Kreczennikowa, płk Drewitza (Drewicza), jak i za nic mieli zdwojone wysiłki dworu królewskiego czynione dla skompromitowania antypaństwowego w istocie ruchu barskiego. Nie powalili ich na kolana groza ziemskiego piekła rzezi hajdamackiej w Humanu.

Dialog iluzji z rzeczywistością toczył się nadal; „wolne, choć skonfederowane wojska ściga obcy generał i obce wojska za królewskim przyzwoleniem”, lub razem z królewskimi (pod Ksawerym Branickim); obdarty i zgłodniały zapal religijno-patriotyczny szlachty polskiej, podtrzymujący ducha bojowej determinacji i zbutwiające bramy w rozpadających się kresowych zameczkach i w klasztorach zamienionych w warownie, naprzeciw nowoczesnej artylerii, wyszkolonym i karnym liniom piechoty zjeżdżającej raz po raz ogniem salw karabinowych.

To nie była nawet koncepcja na przetrwanie do wysnionego czasu, gdy mechanizm iluzji konfederackiej poruszy i skieruje całą potęgę Francji i Austrii na pomoc Turcji w jej wojnie z Rosją w obronie sprawy polskiej (toczącej się od października 1768 r.), gdy owi wielcy z „koncertu południowego” wystawią także do boju swoje bataliony pod konfederackimi sztandarami i sypną obficie alianckimi dukatami na hazardowe stoły skłóconych „barskich szefów” frakcyjnych, dekujących się wesoło i dostatnio na emigracyjnym zapiecku. Bo i rzeczywistość, wszelkiej maści tuzy konfederacy — alergicznie uczuleni na odgłosy szczęku oręża i dym z prochów bitewnych — czekali i modlili się pod zadnieprzańskim tureckim meczetem o wolność dla swojej świętej religii, a inni pośród życzliwych mieszczuchów na zaścianku cesarsko-węgierskiego Preszowa opróżniali beczki na intencję wyczekiwanego cudu (i to wcale nie w sensie metafizycznym); cudu antyrosyjskiej wojny powszechnej w obronie aspiracji różnych Krasińskich (zwłaszcza Michała) i Potockich (Joachima i Franciszka Salezego), Jerzego Mniszcha, rzadko trzeźwego Karola Radziwiłła, wykwiutnego panicza i sybaryty (choć także melomana i kompozytora) Michała Ogińskiego, księcia łotrzyka Marcina Lubomirskiego, jednako pięknych i ponętnych jak niezwykle ambitnych w rzemiośle politykowania oraz intrygi „konfederatek”, takich chociażby jak — Maria Amalia Mniszchówna (Brühlowa de domo), księżna kurlandzka Franciszka (Krasińska de domo).

Resztki porządku „Rzeczy”-pospolitej rozsypywały się wzdłuż bezdroży państwa już nie Obojga Narodów, lecz w istocie

wielu bezsilnych (z osobna) narodów, nawzajem się wykluczających z tego leż padolu, okładających i oskarżających się za cięcie a szpetnie, przede wszystkim, za swoje własne grzechy, przewinienia i rozterki. Każda z katastroficznych nacji poświęciowanego łona „narodu” szlacheckiego, ustami swych politycznych wieszczów i przy dźwiękach własnych lub wypożyczonych surm bojowych, próbowała nauczać i interpretować zasady jedynej supremacji do korony, do rządzenia, lub przynajmniej panoszenia się przy majestacie „swojego” króla Rzeczypospolitej wypchniętego na stolec (po zdetronizowaniu króla Stanisława, tego „Żydowina” i „ekonomczuka”), przez ludzi tylko cynicznie afiszujących się (dla powszechności uznania) barskimi ideałami i grzmiącymi o szczęściu ojczyzny.

Między pękające do reszty spoiwa szlacheckiego autorytarnego narodu Rzeczypospolitej, rozrywane i przez obce podszepty, nagrody, obietnice, gniew i groźby, szpicrutę, wreszcie bagnety, wdzierały się niewielkie oddziały marnej konnicy pod rozkazami różnych (często upartych i swarliwych) komendanciatek nie hołdujących żadnym zasadom dyscypliny i potrzebom koordynacji działań konfederackich.

Nieostrożność, niesolidarność i brak jednorodnego ojczyźnianego instynktu narodu szlacheckiego znalazły swoje wyraźne odbicie w szeregach obrońców jego praw. Przemykali się oni między bohaterskimi podolskimi kurnikami konfederackiego przedmurza (Bar, Okopy Świętej Trójcy, Berdyczów), po kniejach raczej wyczekującej a statecznej Litwy, od Lwowa, Przemysła po Kraków, między szańcami karpackich obozów a wielkopolskimi partiami konfederackiego czynu zbrojnego, po jego Jasnogórską redutę.

Szli, pchani jakąś obsesyjną pewnością w słuszną i potrzebną walkę, w spiekotę i deszcz, w śnieżną zadymkę i beznadziejność, śniąc i na jawie w kulbace o bitnym przyjacielu Turku i jego podwładnym Tatarzynie do obrony świętej wiary, skoro na zew konfederacki nie błysnęło 200 tysięcy szabel braci rodaków. „Jedni będą szli krew przelewać, drudzy będą uważać ich za durni, trzeci przypatrywać się z boku, a jeszcze inni staną z wrogiem przeciw własnym; tych ostatnich jednostki tylko będą, ale będą” (J. Roszko). W mrok dziejowego zmierzchu I Rzeczypospolitej zagłębiali się uzbrojeni byle jak, lecz mocni wiarą i poczuciem posłannictwa, „kołędnicy” — niosący chwilowe pokrzepienie, uludę szczęścia i pewności oj-

czyźnianego pokoju, opartych na mirażach przeszłości pobudzonej wspaniałymi i podniosłymi scenami konfederackiej przysięgi składanej przy kominku i pokoleniowych wotach w rozbudzonych nadziejach dworach szlacheckich, w zapadłych wsiach i miasteczkach, leżących z dala od utartych szlaków i gościńców penetrowanych przez carskie zagony pacyfikacyjne.

To pobudzająca wyobraźnia, metaforyczna, acz bezwzględna w rozrachunkach finalnych, rewolucja sumień polskich szlacheckich zaścianków, zagubionych jeszcze głęboko w XVI—XVII-wiecznej idylli i żyjących, w paradnym kontuszu i z szabelką u boku, ze świadomością mocarstwowej Polski, tej z poszumem husarii i wspaniałymi rumakami bojowymi tratużącymi wrogów.

Wyszli więc poza opłatki tych zaścianków w nieznaną sobie Polskę uduchowieni i spontaniczni, żywiołowi i nieostrożni, prości i naiwni, waleczni i bezwzględni (i także skłóceni między sobą!) obrońcy jej wolności i wiary przodków; wyszli w półpancerzach i z pistoletem skałkowym, porywając się na otaczający Rzeczypospolitą świat armat po wielokroć stutysięcznych armii i świat nieznanych reguł gry wielkiej polityki; polityki wobec wyzwania której ich dziadowie i ojcowie — kierując (jakże nagminnie) jedynie upojnym odurzeniem podgolonego nieuctwa i partactwa myślowego — przyjmowali pozę dyletanckiej zarozumiałości, trzymając się literalnie, jak wyroczeni (na swoje i innych pocieszenie) powszechniejącego prostackiego zawołania; „choć na całym świecie wojna, byle polska wieś spokojna”, nie zdając sobie sprawy z samobójczego wymiaru tej sentencji dla samych wyznawców.

Obie części tej samej całości, wielkich oświeconych ze świata decyzyjnego, zostaną połączone przy pomocy wspólnoty interesów fryderycjańskiej konstrukcji; konstrukcji wreszcie zespolonej solidnie zaturawiającą Polskę materią prusko-hohenzollernowskiej psychologii państwowej, która od roku 1768 starannie przygotowywała swoją ofiarę, wraz z jej usługowymi rodzinnymi znachorami, do następnego eksperymentu porażania newralgicznych unerwień i tak już rachitycznych, a przy tym skrepowanych, struktur państwowych Rzeczypospolitej rzuconych wreszcie, po werdykcie dziejowej sprawiedliwości silniejszych (podyktowanym ławie zaprzysięgłych rodzimych współników), między pniak rosyjsko-austriacki a topór pruski roku 1772.

JÓZEF LINDMAJER

Czy warto było... (2)

W tej sytuacji podjęłam poważną decyzję: — Wyjadę na Ziemię Odzyskaną, czyli jak się wtedy mówiło — „Na Zachód”. Tam, na Pomorzu Zachodnim w małej miejscowości ówczesnego województwa szczecińskiego, później koszalińskiego, a obecnie słupskiego mieszkał już i pracował od roku mój starszy brat, Andrzej. Był leśniczym w tamtejszych lasach, niedawno się ożenił i założył dom. Postanowiłam do niego pojechać i tam szukać miejsca dla siebie.

Do Czarnego przyjechałam 10 lipca 1946 roku pod wieczór, po 24 godzinach jazdy różnymi pociągami i po niezliczonej ilości przesiedadek, spowodowanych zniszczonymi w czasie wojny mostami i nie naprawionymi jeszcze liniami kolejowymi. Miasteczko to znalazłam już z poprzednich wakacji, kiedy to pojechałam do brata na prośbę matki, aby zobaczyć, jak się udzieli. Wtedy jechałam 3 doby towarowymi pociągami i przeżyłam wiele, mniej lub więcej, nieprzyjemnych przygód. Z tamtej podróży najbardziej utkwiał mi w pamięci widok straszliwie zniszczonego Wrocławia, nad którym unosiły się jeszcze dymy dopalających się ruin. Pociąg posuwał się wśród tych zgłiszczy powoli, jakby szedł w jakims kondukcje pogrzebowym. Widok ten sprawiał przynębiające wrażenie i patrząc na to pogorzelisko uświadomiłam sobie w pełni, jaką okropną tragedią jest wojna.

Miasteczko, w którym mieszkał brat, wtedy w 1945 roku było podobne do tego, jakie pokazuje się dziś w filmach z tamtego okresu — pełne śmieci popędzanych wiatrem, zdemolowanych domów, w których tu i ówdzie mieszkaly rodziny niemieckie złożone przeważnie ze starców i kalek, oczekujących na przesiedlenie do Niemiec. Ludzie ci byli zatrudniani przez nasze władze przy takich robotach, jak odcieruzowywanie miasta, porządkowanie ocalałych budynków i przy wielu innych pracach koniecznych do zaprowadzenia jakiegoś takiego porządku. Niemcy ci nie byli podobni do tych, których pamiętam z czasów wojny. Pokorni, zastraszeni a równocześnie nienawistni i zamknięci w sobie, spełniali w milczeniu to, czego wy-

magano od nich nie zawsze w sposób ludzki. Cóż! Trudno się dziwić — było w nas w tych czasach zbyt wiele nienawiści i rozpacz po tym, co robili w czasie wojny, żeby ich inaczej traktować.

Obecnie, w roku 1946 miasto było już jako tako uporządkowane, choć nie brakło jeszcze pustych i zdemolowanych domów, nie zagospodarowanych gospodarstw w okolicy, ugorów i ruin. Mój brat, młody małżonek, otrzymał jako służbowe mieszkanie mały 1-rodzinny domek na przedmieściu, skąd miał już niedaleko do swego obwodu leśnego. W leśnicówkach położonych z dala od osad ludzkich nie było w tym czasie bezpiecznie mieszkać. Pełno było jeszcze w lasach różnych band złożonych z dezertów armii hitlerowskiej i osobników niewiadomego pochodzenia, którzy napadali na samotne osady, niszczyli dobytek, podpalali i dopuszczali się gwałtów i zabójstw. Dlatego brat mój wolał mieszkać w miasteczku tym bardziej, że żona jego miała tam rodzinę i nie miała ochoty zaszyć się gdzieś w głuszy leśnej. Zresztą i tu było jak na wsi. Przy domu były zabudowania gospodarskie pozwalające na prowadzenie małego gospodarstwa, duży ogród obsadzony drzewami owocowymi. Brat miał już krowę, którą jeszcze w zeszłym roku napotkał zabiakaną w lesie, a której właściciela nie mógł odnaleźć. Prawdopodobnie odłączyła się ona od dużego stada pędzonego przez Wojska Radzieckie, jako tzw. zdobycz wojenna, zabrana z opuszczonych przez Niemców majątków i większych gospodarstw. Pamiętam, jak przyprowadził ją z lasu ryczącą i niespokojną, z pokaleczonym i nabrzmiałym wymieniem, które długo trzeba było leczyć i masować, aby w końcu można ją było wydoić. Robiła to jeszcze za kawalerskich czasów brata stara Niemka, którą wyznaczono mu na gospodynię. Ale to było w zeszłym roku — teraz krowa była pięknie utrzymana, dawała mnóstwo mleka i miała już małego cielaczka. Oprócz tego miał brat dwa piękne konie (służbowe), dwa prosiaki i gromadę drobiu. Młoda żona Andrzeja, bardzo gospodarna i zapobiegliwa z ochotą zajmowała się tym gospo-

darstwem z pomocą tej samej Niemki, która dotąd nie wyjechała jeszcze do Niemiec i chętnie pracowała, tym bardziej, że traktowana była dobrze, tak przez brata jak i jego żonę.

Andrzej, uprzedzony o moim przyjeździe, przygotował dla mnie mały pokój na „górze” swego domu, urządził jak mógł swymi kawalerskimi meblami i przyjął mnie bardzo serdecznie. Rozgościłam się więc na tej „górze” i starałam się jak umiałam włączyć do prac domowych, choć przede wszystkim myślałam o zaangażowaniu się do pracy w szkolnictwie. W parę dni po przyjeździe udałam się do mieszkania tutejszego kierownika szkoły, chcąc porozmawiać z nim o mojej przyszłej pracy. Ponieważ było powszechnie wiadomo, że na Ziemiach Odzyskanych panuje ogromny brak nauczycieli, byłam przekonana, że zostanę bez żadnych trudności przyjęta do pracy. Tymczasem spotkało mnie rozczarowanie.

— Niestety, proszę pani — mam już wystarczającą ilość nauczycieli i ani jednego wolnego etatu — rzekł mi kierownik — Musi się pani zgłosić do Inspektoratu Oświaty w Człuchowie, a tam wskażą pani wolne miejsce, choć uprzedzam, że będą to raczej szkoły wiejskie. Szkoły w miastach funkcjonują już od ubiegłego roku i mają raczej pełną obsadę. A etatów wszędzie mało. — A więc pierwsze rozczarowanie! Nie zmartwiłam się tym jednak zbyt. Mogę przecież pracować na wsi — kto wie, czy tam nie będę bardziej przydatna, niż tu w tym miasteczku. Przecież wieś polska potrzebuje szczególnej opieki i pomocy po przedwojennym analfabetyzmie i latach okupacji. Poza tym — przyznać muszę — że choć u brata było mi bardzo dobrze, to jednak chwilami czułam się u nich jak tzw. intruz. Wiadomo — młode małżeństwo lubi samotność we dwoje. Ktoś trzeci bywa zawsze — choćby mimo woli — niepożądanym świadkiem tego intymnego „sam na sam”. Ponadto pochodziliśmy z bratową z zupełnie odmiennych środowisk i okolic Polski. Ja „ze wschodu”, ona z Pomorza. Wychowane byłyśmy w bardzo różnej obyczajowości, różniłyśmy się sposobem prowadzenia domu, zwyczajami a nawet poglądami na wiele spraw. Czułam więc, że lepiej pójść swoją drogą, przemieścić się gdzieś na wieś i tam zacząć własne życie.

Wybrałam się więc do Człuchowa i z łatwością dotarłam do Inspektoratu Szkolnego, który mieścił się w pobliżu dworca kolejowego, w jakiejś willi zupełnie nie przystosowanej do potrzeb biurowych. W sekretariacie spotkałam tego pana, który usłyszawszy z czym przychodzę, zaraz wprowadził mnie do „gabinetu” inspek-

tora. Był to niewielki pokój z jedną szafą mocno odrapaną i biurkiem, którego jedna wylamana noga zastąpiona była cegłą. Pan Inspektor — niewysoki, bardzo wychudzony człowiek, z krótko ostrzyżoną na „jeża” fryzurą (pozostałość po obozie koncentracyjnym — jak dowiedziałam się później), przyjął mnie uprzejmie, a gdy zobaczył mój dyplom, długo go oglądał, gdyż jak stwierdził, nie widział jeszcze dyplomu wydanego po wojnie. W jego rejonie pracowali przeważnie przedwojenni nauczyciele, którzy po powrocie z wojennej tułaczki, osiedlili się tu, nie mając do czego i do kogo wrócić. Było też sporo młodych osób, które nie miały żadnego przygotowania pedagogicznego, a często nawet matury. Przyjmował je w szeregi nauczycielskie z powodu ogromnych potrzeb ówczesnego szkolnictwa na Ziemiach Odzyskanych. Toteż mój dyplom był w pewnym stopniu sensacją.

Inspektor podał mi do wyboru kilka miejscowości, w których były wolne etaty, a także takich, w których zachodziła potrzeba utworzenia szkoły. Przeglądając się mapie powiatu, szukałam wsi położonej jak najbliżej Czarnego. Zawsze uważałam mego brata za opiekuna i obrońcę i mimo chęci rozpoczęcia samodzielnego życia czułam, że mogę mieć w nim oparcie w razie jakichś trudności. Wybrałam więc oddaloną od Czarnego o około 4 km wioskę, której nowo nadana polska nazwa brzmiała Sokola Dąbrowa. Nie było tam jeszcze zorganizowanej szkoły, ale potrzeba jej otwarcia była wielka, ze względu na mieszkającą tam ludność polską i na powstałe w pobliżu Państwowe Gospodarstwo Rolne rokujące szybki rozwój, a co za tym idzie przyjmujące nowe rodziny robotników rolnych. Kiedy wyraziłam chęć przyjęcia posady w tej wiosce i zorganizowania tam szkoły, inspektor powstał zza biurka i przybrał uroczystą minę.

— W takim razie — rzekł — muszę przyjąć od pani ślubowanie nauczycielskie. Proszę chwilę zszednąć — i wyszedł do sekretariatu. Po chwili wrócił z sekretarzem i dwoma starszymi nauczycielami, którzy przypadkowo zjawili się w inspektoracie, załatwiając jakieś swoje sprawy. Inspektor trzymał w ręku tekst ślubowania, które uroczystie odczytał, a ja powtarzałam jego słowa trzymając dwa palce uniesione do góry.

Serce biło mi bardzo mocno i chociaż wszystko odbyło się bez jakiegokolwiek „pompy” i trwało zaledwie 2—3 minuty, pamiętam ten dzień do dziś. Poczulałam się wtedy prawdziwym nauczycielem i pełnoprawnym członkiem społeczeństwa.

KLEMENTYNA DOMINAS

Mała Akademia Jazzu

Jeszcze kilkanaście lat temu w Słupsku grało się jazz. Działo się tak za sprawą garstki zdolnych muzyków, którzy uprawiali ten rodzaj muzyki. Takie zespoły jak „Ad Libitum”, „Remont”, „Trio Janusza Prynkiewicza” wpisały się w karty historii naszego miasta. Miały one rzesze swoich zwolenników, licznie przybywających na koncerty i jam-sessions odbywające się w klubie WDK lub kluboteatrze WSP. Tłumnie oblegana była sala słupskiego teatru, w której odbywały się koncerty Pomorskiej Jesieni Jazzowej. Kilkanaście razy w roku gościły w Słupsku czołowe polskie zespoły jazzowe.

Piszę o tym wszystkim w czasie przeszłym, ponieważ okres ten — nie tak bardzo jeszcze odległy — zaczyna być już historią. Obecnie w Słupsku nie ma zespołu jazzowego. Czasami jeszcze przy różnych okazjach „weterani” jazzu skrzykną się i zagrają trochę synkopowanej muzyki.

Na dobrą sprawę nie ma nawet gdzie jej posłuchać. Jeszcze tylko czasami z uporem godnym słusznej sprawy, jazzowe koncerty odbywają się w Miejskim Ośrodku Kultury.

Świadectwem świetności tamtych dni oraz niezaprzeczalnym dorobkiem jazzowej działalności placówek jest obecna kariera Grażyny Auguścik, która muzyczne szlify zdobywała właśnie w Słupsku. Talent i rzetelna, systematyczna praca pozwoliły jej wejść do grona najlepszych wokalistów jazzowych w kraju i zrobić pierwszy krok ku międzynarodowej karierze. Grażyna Auguścik otrzymała stypendium w jednej z najbardziej renomowanych uczelni muzycznych na świecie — Berkeley School of Music w Bostonie.

Obecnie w naszym mieście nie ma już jazzu.

Istota kultury zawiera się w jej różnorodności, wielości form i treści. Chodzi głównie o to, aby młodemu człowiekowi przedstawić szereg różnych propozycji kulturalnych, z których mógłby dokonać wyboru, nie rezygnując z poszukiwań własnej drogi.

Poziom umuzykalnienia budzi wiele zastrzeżeń. Wciąż brakuje wykształconych muzyków decydujących się na działalność pedagogiczną. Do tego dochodzą ciągle kłopoty z podręcznikami, instrumentami i aparaturą odtwarzającą. Młodzież coraz łatwiej przyswaja uniformistyczny, pozbawiony autentycznych wartości standard muzyki rockowej, która serwowana przez środki masowego przekazu schlebia niewybrednym gustom licznych odbiorców.

Wojewódzki Dom Kultury w Słupsku oraz Polskie Stowarzyszenie Jazzowe — Biuro w Sopocie pragną przedstawić nową propozycję. Pragniemy zainicjować działalność Małej Akademii Jazzu, cyklu spotkań realizujących w niekonwencjonalny sposób idee wychowania muzycznego. Podczas tych spotkań prowadzonych przez najważniejszych polskich muzyków jazzowych, młodzież byłaby zapoznawana z podstawowymi zasadami improwizacji jazzowej, historią jazzu, jego instrumentarium i praktyką wykonawczą, a także miałyby okazję wysłuchać wartościowej muzyki.

Jak wiadomo, istota jazzu zawiera się w improwizacji. Dzieci już w wieku 5—6 lat wykazują wrodzoną, naturalną zdolność do improwizacji. Właśnie wtedy potrafią improwizować posługując się klockami, układankami, a także kolorami. Niestety, istniejący system oświaty muzycznej w szkole nie sprzyja rozwijaniu tych spontanicznych, naturalnych zdolności twórczych. W działalności tej najczęściej zachwiana bywa równowaga między pracą (przymusem) a zabawą (spontaniczną twórczością).

Dotychczasowe osiągnięcia edukacji jazzowej na świecie pozwalają na nowo przywrócić tę zachwianą równowagę. Przystosowanie do muzyki poprzez jazz, na zajęciach wychowania muzycznego może być skutecznym sposobem pobudzenia wrzeliwości młodych słuchaczy. Warto przy tym pamiętać, że prowadzenie tych zajęć zależy przede wszystkim od osobowości nauczyciela i strategii dydaktycznej przez niego stosowanej. W tym celu do prowadzenia Małej Akademii Jazzu zostali zaproszeni najbardziej doświadczeni muzycy-pedagodzy.

Nie trzeba nikogo przekonywać, że muzyka jazzowa wymaga od słuchaczy pewnego przygotowania. Jest to swego rodzaju praca u podstaw. Proponujemy cykl edukacyjny obejmujący 20 programów muzycznych. W ciągu dwóch lat słuchacze będą mogli uczestniczyć w audycjach na następujące tematy:

A. INSTRUMENTY JAZZU:

1. Flet — Krzysztof Zgraja.
2. Trąbka — Henryk i Robert Majewscy.
3. Puzon — Lotar Dziwoki, Marek Michalak.
4. Saksofon, klarnet — Tomasz Szukalski, Henryk Miśkiewicz.
5. Gitara — Jarosław Smetana, Janusz Strobel.
6. Gitara elektryczna — Janusz Popławski.
7. Bas — Marian Bogdanowicz.
8. Gitara basowa — Krzysztof Ścierański.
9. Instrumenty klawiszowe — Krzysztof Sadowski, Jerzy Grzywacz.
10. Wokalistyka — Danuta Błażejczyk, Krystyna Prońko.
11. Perkusja — Krzysztof Przybyłowicz, Jacek Pelc.

B. ELEMENTY JAZZU

12. Podstawy improwizacji jazzowej — Janusz Szprot.
13. Blues — Leszek Dranicki, Jacek Skubikowski.
14. Szkoła słuchania jazzu — Andrzej Jaroszewski, Tomasz Tłuczkiewicz.
15. Historia jazzu — doc. A. Szmidt, Marek Cabanowski.
16. Dixieland, jazz tradycyjny — Bogdan Styczyński.
17. Jazz nowoczesny — Jan Ptaszyn Wróblewski.
18. Jazzowa muzyka religijna — Gina Łopacińska.
19. Taniec jazzowy.
20. Podsumowanie — Janusz Szprot.

Opiekunem dydaktycznym i kierownikiem artystycznym Małej Akademii Jazzu jest Janusz Szprot — znany muzykolog, publicysta i pianista.

Wzorem edukacji teatralnej program ten pragniemy realizować w szkołach i placówkach kultury na terenie woj. śląskiego. Instytucje te widzimy również w roli organizatorów poszczególnych spotkań. Roli koordynatora chętnie podejmie się Sekcja Organizacji Imprez Wojewódzkiego Domu Kultury.

Dotychczasowe doświadczenia z innych województw wykazały, iż istnieje zapotrzebowanie na tego rodzaju działalność. Grono wdzięcznych słuchaczy realizatorzy zamierzenia znaleźli nawet wśród najmłodszych odbiorców. Co ciekawsze, szczególne zainteresowanie wykazało środowisko wiejskie, w którym jazz nawet jeszcze teraz bywa zjawiskiem egzotycznym.

Wszystkich tych, którzy wykazą zainteresowanie podjęciem u siebie tego rodzaju działalności prosimy o kontakt: Wojewódzki Domu Kultury 76-200 Słupsk, ul. P. Findera 3, tel. 240-41, 247-07 (Sekcja Organizacji Imprez).

Jednocześnie zachęcamy pedagogów, muzyków i organizatorów życia kulturalnego do wypowiedzi na tamach WIK „Gryf” na temat sposobów przybliżenia dzieciom i młodzieży muzyki jazzowej.

JERZY NIEMOCIŃSKI

Tak sobie... czyli o „Seksstecie” i kilku innych sprawach

W ostatnich dniach Teatr „Stop” powrócił z kolejnego wyjazdu, tym razem z Wałcza. Aktorzy ze Słupska zaprezentowali waleckiej publiczności spektakl „Seks-tet”. W kilku szkołach podstawowych przedstawiono program edukacyjny „W świecie teatru milczenia”. Wykorzystując podstawowe cele pedagogiczne, a także główne zasady wychowania poprzez sztukę — oparte na artystycznym przeżyciu, aktorzy „Stopu” starali się przybliżyć uczniom — przyszłym widzom — teatr pantomimy. Scenariusz pomyślany został w formie konspektu, który może być wykorzystany w dalszej pracy nauczyciela. Aktorzy „Stopu” wśród dziecięcej publiczności i w lekcyjnej sali poruszają się z dużą swobodą. Łatwo nawiązują kontakty ze słuchaczami, potrafią zatrzymać na dłużej dziecięcą uwagę i wprowadzić w swego rodzaju teatralny trans. Rzetelność swoboda i fachowość w realizacji obranego tematu wynika z przygotowania zawodowego „Stopowców”. Są przecież absolwentami lub studentami Wydziału Pedagogicznego słupskiej Alma Mater.

„Stop” podobał się w Wałczu i otrzymał ponowne zaproszenie na wiośnię. Zaprezentowane zostaną najnowsze propozycje ulicznych akcji teatralnych oraz kolejny program edukacyjny — „Teatr staropolski”. Życzliwe przyjęcie „Seks-tetu” i aplauz widzów cieszy twórców spektaktu — Stanisława Miedziewskiego i Mirosława Glinieckiego (instruktorów OT „Rondo”). „Stop” w triumfalnym pochodzie objechał z tym spektaklem prawie całą Polskę, a na licznych spotkaniach i konkursach zdobył wiele cennych nagród i wyróżnień. Przedstawienie to — jak mówią szefowie artystyczni zespołu — schodzi już z afisza, choć zaproszenia ustawicznie napływają...

Na tle pożegnania spektaklu pozwolą Państwo na zaprezentowanie moich przemyśleń na temat funkcji, sposobu pracy teatrów zwanych „amatorskimi”.

Teatry nieetatowe, aczkolwiek profesjonalne (w sensie świadomego dążenia do doskonałości wypowiedzi, czystości obrazu, konstrukcji teatralnej), są w tej jedynej zdrowej sytuacji, iż nikt nie rozlicza ich z ilości premier. Nie pogania wcześniej ustalony czas premiery, chyba że jest to ten własny, wewnętrzny, metafizyczny czas trwania. W tych teatrach spektakl faktycznie rodzi się, a aktorzy w przerwach nie rozmawiają o tym, gdzie dostać opony do małego Fiata.

Takich teatrów w naszym kraju jest dużo. Ich istnienie nie powinno się przekreślać, albo łaskawie tolerować na zasadzie incydentu, tylko dlatego, że aktorzy nie posiadają dyplomu szkoły artystycznej.

Widzom jest w gruncie rzeczy obojętne czy aktorzy mają ów dyplom czy nie. Jeżeli potrafią poruszać emocje, porwać do gry, i pozostawić w stanie oczekiwania — budzą szacunek dla własnej trudnej pracy i wdzięczność słuchaczy.

Oponenci „Stopu” są być może nieco rozdrażnieni długą obecnością „Seks-tetu” na scenie. Co niektórzy nawet twierdzą, iż produkcja teatralna jest również istotna, a częstotliwość zabieranego głosu stanowi o tak zwanej aktywności teatru. No cóż... wystarczy rozejrzeć się dookoła. Gdyby ta ilościowa wielość prezentacji posiadała pewną wartościową jednoznaczność — można by to przyjąć. A tak — mnoży nam się zły smak!!!

W tym momencie nie mogę się jednak uwolnić od pytań o sposób pracy i mnogości teatralnych prezentacji. To dobrze, że one powstają i dotyczą każdego teatru. Ich istnienie i brak możliwości konkretnej odpowiedzi niechaj budzi niepokoje i wątpliwości tych wszystkich, którzy, chcieliby mieć co dzieć po obiedzie słodziutki deser w postaci premierowego przedstawienia teatralnego, a którym się zdaje, iż tak już wszystko znają i tak dobrze we wszystkim smakuja, że nic im więcej nie zostaje, jak tylko „wstać i gębę swą chustą wytrzeć”.

MIZAR

Mniej udane dziecko...

Bywają dobre i złe domy kultury. W naszym województwie działa ich około 50. W wielu środowiskach administracji domy kultury traktuje się jako dziecko mniej udane od innych, jako służące do nieco mniej ważnych poruczeń...

Dlaczego tak jest, że tyle ma się zastrzeżeń do domów kultury, a jednocześnie tylu ludzi nimi stale się zajmuje? W odróżnieniu od wyspecjalizowanych instytucji kulturalnych takich jak kina, teatry, biblioteki, galerie malarstwa, domy kultury prowadzą działalność wielokierunkową, na której podobno wszyscy się znają. Domy kultury zajmują się przygotowaniem swoich uczestników do odbioru dóbr kulturalnych, edukacją artystyczną dzieci i młodzieży, kształtowaniem wrażliwości artystycznych, gustu, dobrego smaku. Obok kół artystycznych np. tanecznych, recytatorskich, teatralnych, plastycznych, nauki gry na instrumentach, w domach kultury pracują koła zainteresowań techniką np. modelarskie, fotograficzne, komputerowe i inne. Placówki te jako instytucje kulturalne nie tylko uczą posługiwanie się nowoczesną techniką, ale także, jak być człowiekiem, który umie przeżywać wzruszenia estetyczne.

Punktem wyjścia przy programowaniu ich działania powinna być zawsze kultura istniejąca w danym miejscu i czasie, kultura grup społecznych i środowisk, w których dom kultury działa.

Z kadrami dla kultury jest jak wiadomo, od dawna, niedobrze. W zasadzie do tej pory nie dopracowano się skutecznego systemu edukacji. Nieokreślony jest również status zawodowy tych ludzi. Pozycji społecznej instruktorów domów kultury nie ugruntowuje także uposażenie, które mimo doraźnych regulacji, nadal nie dorównuje przeciętnej krajowej.

W sumie więc, do kultury trafiają często ludzie przypadkowi, nie sprawdzający się w innych zawodach, traktując zajęcia w kulturze jako nie zobowiązujące, nie wymagające specjalnych glejtów czy rekomendacji.

W naszym województwie mamy na stanowiskach kierowniczych w domach kultury rolników, kolejarzy, stolarzy, pielęgniarki, a nawet wcześniej... kelnerki.

Rzeczywistość stawia jednak przed nimi coraz większe wymagania. Zmieniła się bowiem i zmienia nadal skala potrzeb i zainteresowań uczestników życia kulturalnego. Tym rosnącym zapotrzebowaniom trzeba sprostać. W tej sytuacji niewiele osób decyduje się na pracę w wiejskich placówkach, tym bardziej, że pracodawcy nie są w stanie zagwarantować mieszkań. W ostatnich miesiącach obserwuje się odchodzenie instruktorów specjalistów do innych zawodów... lepiej płatnych.

Ciągle kłopoty z kadrami i tam gdzie ona się często zmienia, nie pozostają bez wpływu na kształt działalności kulturalnej.

ELŻBIETA ŻOŁYŃIAK

Czy jesteś człowiekiem dynamicznym?

Ludzi dynamicznych cechuje m. in. ustawiczny pośpiech, zdolność do jednoczesnego zajmowania się różnymi sprawami i stały brak czasu. Spróbuj spojrzeć na siebie pod tym kątem. Samoocenę ułatwią Ci poniższe pytania:

TAK NIE

1. Czy nudzisz się, gdy nie masz nic do zrobienia?
 2. Czy potrzeba Ci więcej niż pół godziny, by być gotowym rano do wyjścia z domu?
 3. Czy często przestawiasz meble w swoim mieszkaniu?
 4. Czy zabierasz się do pracy, kiedy nie jesteś przekonany, że uda ci się na pewno dobrze ją wykonać?
 5. Czy lubisz spędzać urlop w cichej i spokojnej miejscowości, znanej ci od dawna?
 6. Czy chciałbyś wędrować w dżungli?
 7. Czy odkładasz swe decyzje do jutra?
 8. Czy łatwo ci wstawać rano z łóżka?
 9. Czy szybko mówisz?
 10. Jeśli masz bardzo dużo pracy, to czy zaczynasz od najtrudniejszej?
 11. Czy lubisz chociaż jedno z następujących zajęć:
a) jazdę rowerem, b) jazdę na łyżwach, c) stenografię,
d) pływanie, e) narty?
 12. Czy lubisz spokojne rozrywki, np. spacer, czytanie, filatelistykę, wędkarstwo?
 13. Czy lubisz eksperymentować?
 14. Czy uważasz, że film (lub książka) jest nudny, jeśli akcja rozwija się niezbyt szybko?
 15. Czy sądzisz, że zwycięża ten, kto ma więcej cierpliwości?
 16. Czy uważasz, że zwycięża ten, kto się pcha?
 17. Czy rozpoczynales kiedyś pracę wiedząc, że może nie doprowadzisz jej do końca?
- Zapisz sobie punkt za każde „tak” na pytania 1, 3, 6, 8, 10, 11, 13, 14, 16, 17 i za każde „nie” na pytania 2, 4, 5, 7, 9, 12, 15.

■ Jeżeli masz więcej punktów niż 12 — jesteś bardzo dynamiczny.

■ Jeżeli otrzymałeś od 6 do 12 punktów — jesteś w miarę dynamiczny, potrafisz znaleźć dla siebie chwilę odpoczynku.

■ Jeżeli otrzymałeś mniej niż 6 punktów — lepiej byłoby, byś się nieco zdynamizował. Pośpiesz się, prędzej dotrzesz do celu.

ALUCHNA-EMELIANOW MARTA,
poetka.

Ur. 29 marca 1906 r. w Koralówce; wdowa. Ukończyła filologię polską na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu im. S. Batorego w Wilnie. Z zawodu nauczycielka, obecnie na emeryturze.

Debiutowała w 1929 roku w czasopiśmie studenckim „Alma Mater” i w almanachu wileńskiej awangardy „Spod Arkad”. W czasie okupacji od 1941 roku przebywała w Warszawie i brała udział w pracy konspiracyjnej. Wywieziona na roboty przymusowe powróciła do Warszawy w 1945 r. Ze Ślupskiem związana od 1946 r.

Wieloletnia nauczycielka Liceum Pedagogicznego, a zarazem serdeczna — acz wymagająca opiekunka utalentowanej literacko młodzieży. Ponownie zaczęła publikować w 1957 roku. Określana jako „poetka trosk wewnętrznych”. Źródłem Jej poezji jest zaduma nad światem i niepokój o jego losy, zaduma nad istotą ludzkiego bytowania i trudzenia się. Laureatka wielu konkursów literackich. Za działalność w dziedzinie upowszechniania kultury i oświaty odznaczona m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i Złotym Krzyżem Zasługi.

Wydała tomiki poezji: „Szukanie kształtu” (1962), „Popiół i proch” (1964), „Wiem i nie wiem” (1968), „Świta dzień” (1975), „Wiersze wybrane” (1978). Ponadto liczne publikacje w almanachach i antologiach, na łamach pracy i w radiu.

Członek ZLP od 1962 r. Wolny czas lubi spędzać przy interesującej lekturze, a teatr i opieka nad bezdomnymi zwierzętami są jej hobby.

ANKIEWICZ ALEKSY — były bokser wagi piórkowej i lekkiej, dwukrotny medalista olimpijski, trener.

Ur. 12 listopada 1923 r. w Katlewie. Żonaty; 3 córki.

Pierwszy kontakt z boksem miał miejsce w Gdyni w 1937 r.

Wywieziony na roboty do Niemiec, do domu na Oksywiu powrócił w 1945 roku. Po pierwszym meczu w barwach klubu „Grom” (1946 r.) młodym zawodnikiem zainteresował się Feliks Stamm.

W latach 1947—1950 mistrz Polski w wadze piórkowej, a w 1951 mistrz w wadze lekkiej. Brązowy medalista w Mistrzostwach Europy w 1953 r. Największe sukcesy odniósł w Igrzyskach Olimpijskich w Londynie w 1948 r. — brązowy medal i w Helsinkach w 1952 r. — „srebro”. Stoczył łącznie ok. 250 walk w ringu, przy czym tylko 17 było pojedynkami przegranymi, a 6 zakończonych wynikiem remisowym. Należy do pokolenia

prawdziwych sportowców amatorów, którzy nie szukali w sporcie satysfakcji materialnych. Za pierwszy medal olimpijski dostał radio i prawo zatrzymania reprezentacyjnego garnituru. Ukończył szkołę oficerską MO, a awans oficerski z podpisem Bolesława Bieruta przyznano Mu po zwycięstwie w Helsinkach. Od 1954 roku do chwili przejścia na emeryturę był trenerem w GKS „Wybrzeże” Gdańsk. Następnie podjął niesatysfakcjonującą pracę w gastronomii i jest to epizod wspomniany do dziś z przykrością.

W Ślupsku od 1975 roku, kiedy to przyjął propozycję objęcia funkcji trenera-koordynatora sekcji bokserskiej w MZKS „Czarni”. W ciągu 2 lat wprowadził drużynę do I ligi i był niewątpliwym współautorem jej sukcesów w Mistrzostwach Polski. Za zasługi dla sportu odznaczony m.in. Złotym Krzyżem Zasługi; wielokrotny laureat plebiscytów kibiców — wybrany został trenerem 40-lecia przez czytelników „Głosu Pomorza”, a w 1987 r. uzyskał tytuł „Zasłużony Trener PRL”. Codziennie spotkać Go można w hali sportowej, a wolny czas lubi spędzać na działce i przy wędkowaniu.

AZIUKIEWICZ ALEKSANDER — architekt, dyrektor Wojewódzkiego Biura Planowania Przestrzennego.

Ur. 10 lutego 1932 roku w Kostopolu. Żonaty; 1 córka.

Ukończył Wydział Architektury Politechniki Gdańskiej (1959 r.). Ze Ślupskiem związany od 1959 roku, gdzie podjął swą pierwszą pracę po studiach. M.in. na stanowiskach kierownika Miejskiej Pracowni Urbanistycznej (1971), Architekta Wojewódzkiego (1975), a od 1984 r. jest dyrektorem Wojewódzkiego Biura Planowania Przestrzennego. Autor koncepcji zabudowy śródmieścia bez typowych bloków, z zachowaniem charakteru architektury, czego dobrym przykładem może być sala konferencyjna przy KW PZPR. Współautor koncepcji architektonicznej osiedli mieszkaniowych w okolicach ul. Szczecińskiej, a także gorący zwolennik zawieszonego projektu rozbudowy Ślupska w kierunku Ustki. Członek Komisji Kształtowania Przestrzeni Polski Północnej PAN, i Wojewódzkiej Komisji Urbanistyczno-Architektonicznej.

Należy do Stowarzyszenia Architektów Polskich (1960), Towarzystwa Urbanistów Polskich (1974) i PZPR.

Odznaczony m.in. Złotym Krzyżem Zasługi (1984) i medalem „Zasłużony dla województwa ślupskiego”.

Wolny czas lubi spędzać przy wędkowaniu i na wędrowskich turystycznych.

Opr. ALICJA ŚWIETLICKA

Brunetki, blondynki...

Tytuł zapożyczyłem sobie z tekstu piosenki bardzo popularnej w latach trzydziestych, śpiewanej przez Jana Kiepūrę, czyli słynnego „chłopca z Sosnowca”. Mam nadzieję, że nie popełniam plagiatu.

A teraz ad rem. W piosence jest mowa o kobietach i o nich, a raczej o kobiecie chciałbym mówić, tylko że od strony samego hasła jako takiego. Wprost wierzyć się nie chce, iż kobieta pod postacią hasła słownikowego istnieje zaledwie od przeszło 400 lat, zaś w znaczeniu obecnie używanym dopiero od 200 lat z górą. Nasuwa się zatem pytanie jakim słowem zastępowano ją przez wiele stuleci? Nazywano ją rozmaicie: żoną, białogłową, podwiką, niewiastą.

Z tych przytoczonych czterech synonimów, określających płeć piękną, a używanych w dawnych czasach, właściwie tylko hasło żona pozostało na placu, czasem tylko jeszcze mówimy: niewiasta, ale chyba raczej w sensie wyłącznie eufemicznym. Wszystkie je usunęła w cień kobieta, i to, jak się rzekło na początku, wcale nie tak dawno.

Źródłem, w którym po raz pierwszy spotykamy się z hasłem kobieta jest „Sejm

niewieści” Marcina Bielskiego, opublikowany w 1586 r. Napotykamy tam takie zdanie niewiasty, utyskującej na rodzaj męski: „Chocia oni nas waz białogłowy-przadki, ku większemu zelzeniu kobietami zwą, w każdy dzień by chciał pojąć sobie żonę nową”. Inna spośród rozprawiających jakoś nie bardzo „czuje się dotknięta pejoratywnym mianem, mówiąc: „Mogąc oni przeżywać żony kobietami. Najdzie większą stateczność przy naszych kobietach, niżli przy paniach radnych”.

Prawie o 100 lat później w „Moraliach” Wacława Potockiego (1621—96), autor, wspominając o kobiecie, przylepia jej wielokrotnie etykietkę nierządnic. Tymczasem już w „Wojnie chocimskiej” tegoż autora znajdujemy takie sformułowanie: „babi płacz i kobiece lamenty...”, a więc brak tutaj akcentu obelżywego. Można by powiedzieć, iż od tego momentu poczynając, słowo kobieta zaczęło przeżywać niewątpliwie katharsis, swego rodzaju oczyszczenie.

Zastanówmy się teraz nad etymologią hasła „kobieta”. Aleksander Brückner, przypuszcza, że może ono pochodzić od wyrazu KOB, oznaczającego pomieszczenie dla nierogacizny, ponieważ „chów trzody chłwnej należał do obowiązków gospodyni”.

Ale posłuchajmy lepiej Franciszka Zabłockiego, który w jednym ze swoich utworów pisze tak: „Żyjąc w wielkim świecie, wiem jak cżcić piękność, jak się przymilił kobiecie...”

B U K

WYDAJE: Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „Pobrzeże” w Słupsku.

ADRES REDAKCJI: 76-200 Słupsk, ul. Zamenhofa 1, tel. 283-13, 238-05.

KOLEGIUM REDAKCYJNE: Czesław Gomułkiewicz, Urszula Mażka, Krystyna Danielecka, Wanda Lenc.

REDAGUJĄ: Waldemar Pakulski — redaktor naczelny (tel. 266-08), Zbigniew Pakuła — sekretarz, Małgorzata Józwiak — oprac. techniczne.

WARUNKI PRENUMERATY: cena prenumeraty: kwart. 120,— półr. 240,— rocznie 480,—

1. Dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy:

- instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w mieście wojewódzkim i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa - Książka - Ruch” zamawiają prenumeratę w tych Oddziałach.
- instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa - Książka - Ruch” i na terenach większych opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

2. Dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów:

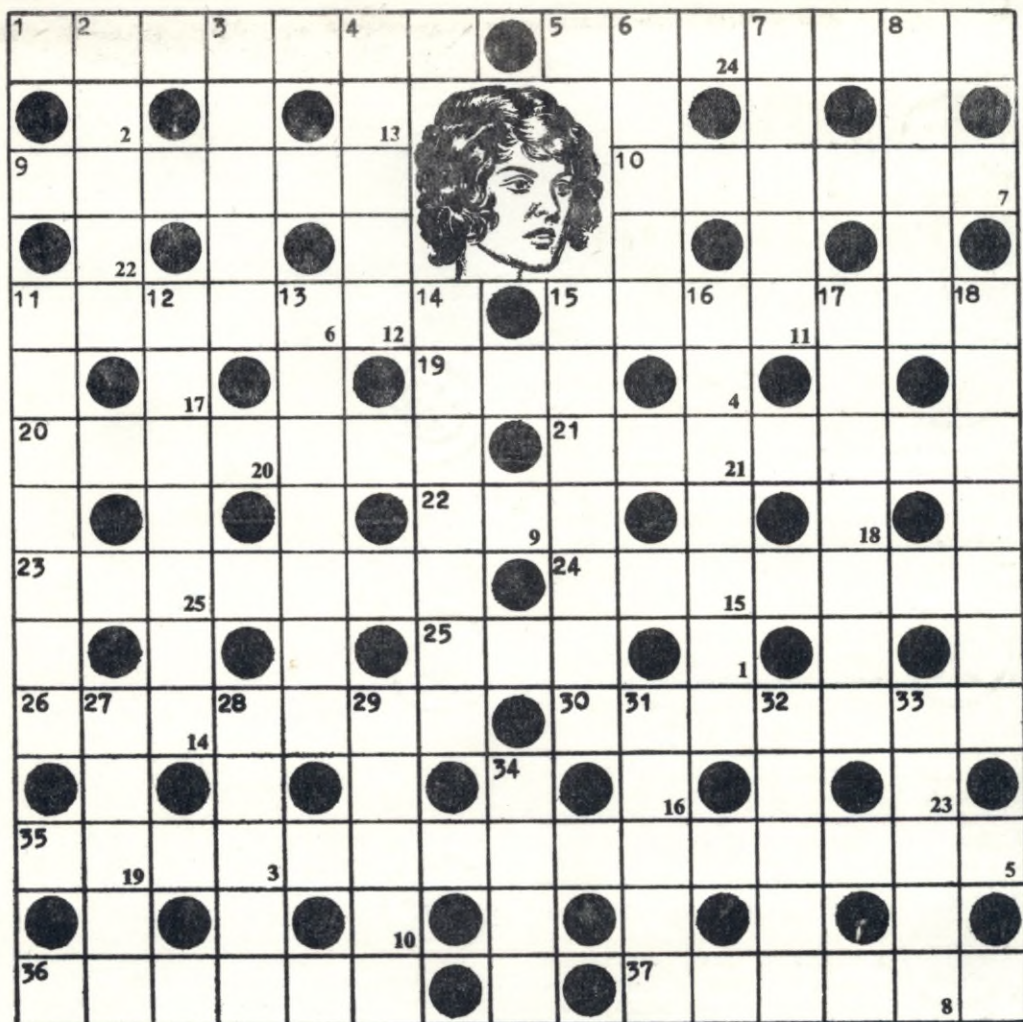
- osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa - Książka - Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli.
- osoby zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziału RSW „Prasa - Książka - Ruch”, opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora.

Wpłaty należy dokonywać na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa - Książka - Ruch”.

Terminy przyjmowania prenumeraty:

- do dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny.
- do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

DRUK: Poligraficzna Spółdzielnia Pracy w Słupsku. Nakład 700 egz. Format B-5. Zam. 141 F-8. Cena 40 zł



POZIOMO: — 1) trunek godny toastu z okazji Dnia Kobiet; 5) powieść poetka Adama Mickiewicza; 9) może być np. sztabowy; 10) ... i Gomora; 11) skrzynka do przechowywania kosztowności; 15) służy do uclerania maku; 19) opiekunka Nel; 20) władca nie podlegający niczyjej zwierzchności; 21) muza z autosem w reku; 22) „rózanopalec” bogini świtu; 23) Nina — wybitna aktorka scen polskich; 24) ukrywanie w sobie; 25) „popelniał” te krzyżówkę; 26) pustynia w Ameryce Południowej; 30) element architektoniczny, rodzaj zwieńczenia wieży w średniowieczu; 35) tytuł komedii A. Fredry; 36) opiekuje się wnuczętami; 37) tłuszcz dodawany do potraw.

PIONOWO: — 2) imię autorki dramatu „Dom kobiet”; 3) usuwanie brudu za pomocą wody i mydła; 4) rzeka uchodząca do Morza Kaspijskiego; 6) sztywna naszywka przy sukniach (dawnych); 7) ... Genowefy (Janusza Meissnera); 8) jeden z kolejnych egzemplarzy czasopisma; 11) przenośna zagroda, używana na pastwiskach górskich; 12) Greta Garbo z pochodzenia; 13) strofa składająca się z trzech wersów; 14) utrata pamięci; 15) mistrzyni, szczytne miano kompozytorki, dyrygentki; 16) jeden z najstarszych i najprostszych rodzajów tkaniny jedwabnej; 17) despotka; 18) zanik nagłosowej części wyrazu (głoski lub grupy

głosek); 27) muza, opiekunka komedii; 28) widz obserwujący nie tylko grę w karty; 29) niewielka w atlasie; 31) od krowy; 32) wśród telewizyjnych spikerek; 33) niejeden w bukiecie; 34) Jantar lub Nehrebecka.

Szyfr liczbowy od 1 do 25 ujawni dodatkowe rozwiązanie.

J A R

Rozwiązania prosimy nadesłać do redakcji „Gryfa”, ul. Zamenhoffa 1, 76-200 Słupsk — z dopiskiem „KRZYŻÓWKA NR 3” — do końca marca br. Do rozlosowania za poprawne odpowiedzi: premii bono oszczędnościowy PKO wartości 500 złotych.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 1:

POZIOMO: — marzec, Łukasz, zjawia, krawka, karoca, miano, szelma, chwila, Rossi, Kalchas, Pendżab, tło, medalik, religia, alt, załoty, Altair, gnu, lędźwie, starzec, mit, anagram, kazanie, masaż, anuria, Idiot, licho, melasa, tetryk, koala, estyma, żurnal.

PIONOWO: — sbrzaja, zakalec, czamara, fajans, łakocie, korowód, Sycylia, ostka, kamizelka, lądolód, żeglarz, Beatrycze, Litawor, lalkarz, gemma, Ustka, nonsens, Gerwazy, amala, aźioteż, awiator, intryga, szczaw.

NAGRODĘ za poprawne rozwiązanie powyższej krzyżówki wylosowała **EWA WAROWA**, ul. Słowackiego 8, m. 6 w Słupsku.



BARAN (ur. 21 III—20 IV)

Wiele niespodzianek. Zyrant będzie oczekiwał rewanżu. Stary przyjaciel okaże nieznaną ci dotąd, drugie oblicze. Gwiazdy będą sprzyjać miłosnym podbojom, pod warunkiem, że zbyt dosłownie nie potraktujesz wzorów postępowania z telewizyjnej „Różowej serii”...



BYK (ur. 21 IV—20 V)

Domowa księgowość, którą prowadzisz od lat, zamiast dotychczasowych uszczypliwości, przyda ci popularności. Jak ty to robisz? Zamiast pogardy okaż trochę życzliwości mniej zapobiegliwym. Do szczęścia pilnie potrzebna „Saga rodu Forsytów” (wypożycz!). Zaoszczędzisz baterie — odcinki w radiu ciągną się w nieskończoność...



BLIŹNIĘTA (ur. 21 V—21 VI)

Wspaniały miesiąc! Na wiosennym spacerze znajdziesz piękną stokrotkę. Ktoś sympatyczny podaruje ci niespodziankę w zagranicznym, oszalałym opakowaniu. A co najważniejsze — poznasz intrygującą postać. Oczarowanie będzie trwało dłużej niż zwykle — aż cztery dni! Wypada zobaczyć „Wielkie żarcie” Marco Ferreriego. „Emmanuelle” Justa Jaeckina już zwietrzało...



RAK (ur. 22 VI—22 VII)

Ktoś ci zarzuci samolubność. Na szczęście w porę dostrzeżesz nieczyste intencje oszczercy. Nie tracąc rezonu wygarniesz co ty o nim sądzisz. I inni. Życzliwa osoba czeka na twój znak — kup książkę telefoniczną! Twój obraz — „Słoneczniki” Wincentego van Gogha.



LEW (ur. 23 VII—23 VIII)

Będziesz musiał zapłacić — nic nie da się załatwić. Są tacy, którzy uważają, że zaślubiłeś na to. Jeśli będziesz się wypowiadać o pewnej osobie (wiesz o kogo chodzi), że jest niespełna rozumu, niektórzy mogą nie zrozumieć, co chciałeś przez to powiedzieć. Szczęśliwe warzywo — pietruszka.



PANNA (ur. 24 VIII—23 IX)

Twój poprzedni horoskop nie spełnił się. Za mało się starasz! Zaufaj gwiazdom — one nigdy cię nie opuszczą. Czego nie można powiedzieć o ludziach. Spróbuj odnaleźć receptę na życie w filozofii Wschodu, ale dyskretnie bo jeszcze ktoś pomyśli, że wierzysz w te bzdury...



WAGA (24 IX—22 X)

Oslabienie wiosenne lub ściślej mówiąc — lenistwo spowoduje, że niewiele zapamiętasz z tego miesiąca. Zmobilizuj się, bo możesz przepaść szansę na interesujące zdarzenia. Mimo to wiele korzystnych zmian wyniknie zupełnie bez twojej inicjatywy. Pozazdrościć! Do szczęścia jest ci potrzebny węgiel.



SKORPION (ur. 23 X—22 IX)

Nie będzie ci łatwo a jednak pokonasz przeciwności losu. Staniesz jednak przed dylematem: uczucie czy kariera? Wiesz dobrze, że w twojej sytuacji te dwie sprawy są nie do pogodzenia. Szczęśliwa godzina — dwudziesta trzecia trzydziści, autorytet — Halszka Wasilewska.



STRZELEC (ur. 23 XI—21 XII)

Miesiąc rewelacyjny! Dostaniesz pożyczkę, mimo, że jeszcze nie spłaciłeś poprzedniej. Wywoła to zawiść w twoim otoczeniu, lecz tylko z twojej winy. Po co się chwaliłeś?! Jeśli się postarasz uda ci się kupić młynek do kawy w kiosku „RUCHU”!



KOZIOROŻEC (22 XII—20 I)

Twoje przywiązanie do przeszłości wywoła nieprzychylnie komentarze. Słowo „konserwa”, które uda ci się podслуchać, nie ma nic wspólnego z „Pudliszkami”! Nie zaszkodzi zerknąć do materiałów dotyczących drugiego etapu... Jeśli czegoś nie zrozumiesz — naucz się na pamięć.



WODNIK (ur. 21 I—20 II)

Twój nowy wynalazek, choć godny podziwu, nie wywoła oczekiwanego efektu. Pomyśl z wycieczką jest doskonały. Nie obawiaj się, nikt się nie domysła po co tam jedziesz. Nie ufaj nikomu, bo nie nie wyjdzie z twoich planów. Szczęśliwy kolor — zielony. Twoja książka — słownik.



RYBY (ur. 21 II—20 III)

Mimo niespodziewanego zastrzyku finansowego, nie uda ci się wybrnąć z tarapatów. Zejdź wreszcie z obłoków i potraktuj życie poważnie. Być może Nептун zapewni ci wzajemność. Jeśli chcesz przetrwać — unikaj pokus. Twoja zła godzina — trzynasta. Szczęśliwy kamień — pumeks.

GRUF

WOJEWÓDZKI
INFORMATOR
KULTURALNY

MATERIAŁY REPERTUAROWE WDK W SŁUPSKU



Oto

kto my jesteśmy

STANISŁAW MIEDZIEWSKI

Do instruktorów ośrodków i domów kultury !

Do nauczycieli szkół ponadpodstawowych !

Wojewódzki Dom Kultury w Słupsku dzięki uprzejmości Redakcji miesięcznika „Gryf” rozpoczyna druk materiałów repertuarowych. Naszą intencją jest ułatwić pracę instruktorom domów, ośrodków kultury i nauczycielom, którzy borykają się często z kłopotami w zdobyciu materiałów repertuarowych na wieczornice, akademie, imprezy okolicznościowe.

Dlatego też pragniemy raz w kwartale wydawać wkładkę do miesięcznika „Gryf”, opracowaniem której zajmować się będą specjaliści zatrudnieni w WDK.

Scenariusz widowiska poetyckiego: **„OTO KTO MY JESTEŚMY”** opracował starszy instruktor ds. teatru Wojewódzkiego Domu Kultury w Słupsku, członek Rady Konsultacyjnej Centralnego Ośrodka Metodyki Upowszechniania Kultury w Warszawie, realizator spektakli w teatrach Słupska i Torunia, wieloletni instruktor i animator ruchu teatralnego, współpracownik teatrów WDK „Rondo” i „Stop” — **STANISŁAW MIEDZIEWSKI**.

Wojewódzki Dom kultury w Słupsku będzie wdzięczny za przekazane uwagi i propozycje dotyczące tego typu działalności na adres: **WOJEWÓDZKI DOM KULTURY, 76-200 Słupsk, ul. P. Findera 3.**

Dyrektor WDK
mgr Antoni Bernatowicz

Oto kto my jesteśmy

Scenariusz ten może być wykorzystany na różne okazje np. na Dzień Wojska Polskiego, czy Dni Pamięci Narodowej czy też 22 Lipca.

Do realizacji z zespołem Domu Kultury można wybrać tylko fragmenty, które najbardziej odpowiadają temperamentowi artystycznemu instruktora.

Chcąc zaakcentować jakąś szczególną okazję, z powodu której zespół decyduje się na realizację widowiska, można do powyższego scenariusza wprowadzać materiały poetyckie i muzyczne inne. I tak na przykład, pierwszą sekwencję scenariusza zatytułowaną „PROLOG” można zastąpić kompozycją tekstów mówiących o walce polskiego żołnierza we wrześniu 1939 r. np.: wiersze Władysława Broniewskiego „Żołnierz Polski”, „Bagnet na broń”, K. I. Gałczyńskiego „Żołnierze z Westerplatte”, A. Słonimskiego „Alarm”.

Jako oprawę muzyczną tworzącą nastrój można zaproponować wykonanie na żywo lub wykorzystać nagrania pieśni żołnierskich i partyzackich w wykonaniu Zespołu Ludowego Wojska Polskiego. (Płyta z nagraniami dostępna jest w Dziale Muzycznym WDK).

Mocne zaakcentowanie treści walki Żołnierza Polskiego w pierwszej części, czyni całość tego scenariusza „użytecznym” do realizacji widowiska, czy wieczornicy poświęconej np. okazji Dnia Wojska Polskiego. Stąd wniosek, że kompozycja tego scenariusza jest otwarta i posługiwać się można nim w sposób dowolny.

Kompozycja scenariusza jest propozycją możliwości teatralizacji organizowanych w placówkach kultury imprez okolicznościowych takich jak uroczyste akademie, wieczornice itp. Należy odchodzić od sztammy tego rodzaju uroczystości, szukać form bardziej atrakcyjnych, gwarantujących większy skutek emocjonalny i myślowy w oddziaływaniu na widzów.

Głównym rekwizytem w tym „przedstawieniu na okazję” jest czerwone płótno, które staje się symbolem i przybiera coraz to nowe funkcje w zależności od użycia. Zaproponowane teksty winny być mówione naturalnie. Dobra atmosfera i właściwy nastrój wśród zebranych widzów zależy od tego na ile szczerze i zaangażowanie wykonawców będzie miało siłę przekonywania.

W przestrzeni, w której będzie realizowany spektakl (klub, świetlica, sala w GOK-u) publiczność zajmuje miejsca wzdłuż ścian pomieszczenia. Centralnie ustawiony stół przydzielany jest przykryty czerwona materia.

Wchodzący do sali widzowie zastają już sytuację trwającą. Na przykrytym czerwonym płótnem stole siedzi dziewczyna z głową ukrytą w kolanach. Jest bosa, ma na sobie białą bluzkę i czerwoną spódnicę. Obok druga dziewczyna w roboczym fartuchu w chustce na głowie przygotowuje salę do „przedstawienia-zebrania”.

Pozostali wykonawcy wchodzą razem z widzami. Ubrani są w stroje codzienne, białe koszule, mogą się gdzieś pojawić czerwone krawaty działaczy młodzieżowych. Wśród wchodzących znajdują się dwaj odmiennie ubrani aktorzy, których wygląd wyraźnie przypomina bohaterów filmu A. Wajdy „Popiół i diament”. Jeden z nich w jasnym płaszczu, ze skórzaną teczką pod pachą, drugi w skórzanej kurtce i w ciemnych okularach. Czterech aktorów zajmuje miejsca za stołem. Pozostali mieszają się z publicznością. Dziewczyna w fartuchu doprowadza salę do porządku. Siedzący za stołem naradzają się, oklaski. Po chwili jeden z czterech wstaje jak do przemówienia.

PROLOG:

AKTOR I

O co idzie!
Żeby rzeka!
Wielka i nośna!
Nie szum rzeki sam!

AKTOR II

Nie echa!
Żeby fakty, fakty!

AKTOR III

Żeby człowiek dla drugiego,
dla drugiego,
dla drugiego człowieka!

AKTOR IV

Żeby człowiek!
Nie byle jaki! Żeby chleb!

AKTOR I

Ale żeby piosenka i kwiaty
(St. R. Dobrowolski)

Dziewczyna w fartuchu kończąc czynności porządkowe zaczyna swój monolog.

**DZIEWCZYNA
W FARTUCHU**

Polska nie ma czasu przeszłego.
Ma w nadziei czas przyszły. Może
być pojęta jedynie w trybie
warunkowym, nigdy w odmianie
słowa dokonanego. Nie jest jeszcze zrobiona. Jest
zaledwie zaprojektowana. Stos cegieł
do ułożenia według wzorów
snu. Stos złomu do przetopienia
według wyobraźni, na obraz
i podobieństwo nie potrzeby
na czasie, lecz dumy na wyrost.
Doświadczenie dziejów dowodzi
jej absurdu. Podsumowanie dawnych
skazuje na pesymizm.
Natwona wiara stawia pod znak zapytania
słomiany ogień.
Najpierw nam Polska wyrastała
z kłosa, później z kartofla i wódki, teraz
z hasła i konieczności. A niejeden podszywa mitem
swą odwagę przekonań,
co tydzień modlitwą przepłukuje myśl radykalną,
przymusowy racjonalista.
W tym wieku zamkniętym w kasie pancernej,
otwieranej czasem kluczem wiatru od wschodu, brak miejsca
na ojczyznę z trocin!

(M. Piechal)

Poruszenie na widowni i za stołem prezydialnym. Aktor siedzący wśród widzów wstaje jakby prosił o głos, zastanawia się jakby chciał zebrać myśli. Po chwili zaczyna mówić bardzo rzeczowo i dobitnie.

**AKTOR
Z WIDOWNI**

Od lat, od niepamiętnych lat
idziemy spragnieni, niespokojni.
Czego nam brak?
Zanurzyć znowu stopy i ramiona
w powietrzu zielonych wąwozów i dróg.
Czego nam brak?
Chcemy wyspy wiślane podkładać pod głowę
z brzegu na brzeg przepływać wpław,
na polach nocą w lipcu leżeć,
czekając wybuchu słońca.
Stoi topola w słońcu
cień utknął w żółtym błocie, lecz się śmieje.

Maki w pszenicy są po to
by obłok z szumu ich powstał,
przez kraj popłynął
żywić ciszę i ludzką nadzieję,
błękitnie jest w Polsce, błękitnie i polnie
i tylko ludzie jeszcze w niej
nie znają ciągle dnia przysięgo...
Od lat, od lat idziemy niespokojnie.
(St. Pięta)

GŁOS HISTORII

Siedząca dotąd nieruchomo na przydzielonym stole Dziewczyna w biało-czerwonym kostiumie porusza się, podnosi głowę, patrzy w milczeniu na zebranych. Po chwili zaczyna nucić muzykę Zygmunta Koniecznego, do wierszy wojennych Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Śpiew podejmują pozostali aktorzy, może też włączyć się widownia. Podczas śpiewania siedzący za stołem wykonawcy wstają, zdejmują marynarki, zostają tylko w białych koszulach. Dziewczyna prostuje się, mówi na tle chóru¹.

DZIEWCZYNA W BIAŁO- CZERWONYM KOSTIUMIE

Lada wiatr, co niesie skądś tam rude dymy
zawsze przypomni tamte piece i kominy
— i nie ustanie w piersi ciemny lament pieśni
aż śmierć odejmie pamięć. Aż wtedy. Nie wcześniej.
(St. R. Dobrowolski)

Nagle rozlega się z głośników wesół mazur. Dziewczyna zeskakuje ze stołu, w rytmie tanecznym przebiega przez całą salę i zatrzymuje się przy ścianie przeciwległej. W tym czasie wykonawcy z widowni a także siedzący za stołem wolnym ruchem, jak na zwolnionym filmie posuwają się w kierunku Dziewczyny. Aktorzy stojący za stołem wchodzi na stół pokazując go jak barykadę i wolnym ruchem idą w stronę Dziewczyny. Dziewczyna tańcząc mazura, wybiega im naprzeciw. Aktorzy idący „rozrywają” koszule na piersiach. Dziewczyna tańcząc ciągle, czerwoną szminką znaczy rany na ciele aktorów — ślady po kulach. Senny i monotony ruch grupy aktorów wyraźnie kontrastuje z tańcem Dziewczyny i z muzyką. Muzyka urywa się nagle aktorzy i Dziewczyna dalej poruszają się jak dotąd, tyle tylko że w ciszy... Dziewczyna znacząc czerwoną szminką, pół mówi pół śpiewa:

DZIEWCZYNA W BIAŁO- CZERWONYM KOSTIUMIE

Aniołowie, aniołowie biali
na coście tak u żłoba czekali,
po coście tak skrzydełkami trzepocząc
płatki śniegu rozsypali czarną nocą.

Czyście blaskiem drogę chcieli zmylić
tym przeklętym, co krwią ręce ubrudzili?
Czyście kwiaty, srebrne liście posiali,
na mogiłach tych rycerzy ze stali,
na mogiłach tych rycerzy pochodów,
co od bata poginęli z głodu?

Ciemne noce aniołowie, w naszej ziemi
ciemne gwiazdy i śnieg ciemny, i młot, i
i pod tymi obłokami ciemnem
nasze serce w ciemność się zmieniło.

(K. K. Baczyński)

Aktorzy wolno siadają na swoich miejscach. Dziewczyna siada na stole, jak na początku spektaklu. Siedzący wśród widzów aktor wstaje. Ubrany jest w zwykłe codzienne ubranie, mówi spokojnie nie podnosząc głosu, bez afektacji.

AKTOR Z WIDOWNI

Chciałbym dziś mówić tak barwnie i jasno
by dzieci biegły do mnie jak do parku
co w słońcu stoi i światło ma w sobie.

¹⁾ Nagrania płytowe Ewy Demarczyk utwory:

1. Wiersze wojenne K. K. Baczyńskiego
2. Deszcze K. K. Baczyńskiego
(dostępne w Dziale Muzycznym WDK)

Chciałbym dziś mówić tak ciepło i prosto
by starzy ludzie czuli się potrzebni
chciałbym tak mówić by moje słowa
przez tzy dotarły do blasku uśmiechów.
Chciałbym dziś mówić spokojnie i cicho,
by ludzie mogli ze mną odpoczywać
śmiać się i płakać
milczeć i śpiewać.
Chciałbym dziś mówić gniewnie i surowo
by odnaleźć zgubione marzenia
skrzydło co kiedyś wytryśło z ramienia.
Chciałbym nie mówić
lecz czynić słowami
aby słów moich dotknęli rękami
ludzie.

(T. Różewicz)

Po chwili ciszy, aktor siada, wyjmując i zapala papierosa. Siedzący przy stole prezydenckim cicho się naradzają. Ubrany w jasny płaszcz wykonawca, który od początku spektaklu stał oparty o drzwi wejściowe zaczyna mówić.

**AKTOR
W PŁASZCZU**

Więc jak się wielkie poematy pisze?
Nie konfetami szastając po niebie,
Ani wprzegając pegazowe żrebie
w rydwan by macić planetarną ciszę.
Lecz bijąc w skryte pod żeber klawisze
Serce swe dłonią, jak cepem po glebie,
z myślą o wiecznym, a codziennym chlebie,
który nasyci swoich i przybysze.
Bić pięścią w własną pierś, jak w dzwon spiżowy
Aby nabrzmiła straszliwymi słowy:
Ucisk, niewola, tyrania, więzienie.
Aż buchnie z bladych ust pieśń, jak krwi rzeka,
niby chorągiew, co krzyczy w przestrzenie:
Wolność człowieka i miłość człowieka!

(L. Staff)

Zrywają się oklaski przechodzące w owacje. Aktor w płaszczu podchodzi do stołu i opiera się. W ruchach jego widać zmęczenie. Dziewczyna w biało-czerwonym kostiumie podnosi głowę, patrzy na aktora w płaszczu, który mówi dalej jakby zwierając się i nie ukrywając narastającej emocji.

**AKTOR
W PŁASZCZU**

Chciałem już zamknąć dzień na klucz,
Jak odczytaną księgę,
Owinąć się czarną ciszą
I zasnąć na potęgę.
Aż tu za oknem wściekła zorza,
Budząca radość i przestrasz,
Rozbłyśta niczym pożar
Wybuchła jak orkiestra.
Oto dzień nowy i świat nowy
Tysiącem dziwów gra mi
Zerwałem się na równe nogi
Przed wysokimi stanąłem schodami.

(L. Staff)

W ostatnie słowa aktora w jasnym płaszczu wdzierają się nagły śpiew Dziewczyny w biało-czerwonym kostiumie. Ta sama muzyka Zygmunta Koniecznego do wierszy wojennych K. K. Baczyńskiego, fraza zaczynająca się słowami „... jeno wyjmij mi z tych oczu, szkło bolesne...” śpiew Dziewczyny w biało-czerwonym kostiumie jest wokalizą bez słów. Aktorzy podejmują śpiew, Dziewczyna patrząc w stronę widzów mówi:

DZIEWCZYNA W BIAŁO-CZERWONYM KOSTIUMIE

*I nie ustanie w piersi ciemny lament
aż śmierć odejmie pamięć. Aż wtedy. Nie wcześniej.*
(St. R. Dobrowolski)

Dziewczyna podnosi rękę jakby dyrygowała. Do stołu podchodzi aktor w ciemnych okularach i w skórzanej marynarce. Dziewczyna w biało-czerwonym kostiumie wskazuje Dziewczynę w roboczym fartuchu, wręcza aktorowi w okularach featralny rekwizyt — pistolet maszynowy, nakłada na rękaw biało-czerwoną opaskę aktorowi w jasnym płaszczu. Śpiew reszty zespołu narasta, jest coraz mocniejszy i coraz bardziej przejmujący. Siedząca na stole Dziewczyna w biało-czerwonym kostiumie wstaje i podnosi rękę do dyrygowania i daje znak ręką. Śpiew urywa się gwałtownie... W głębokiej ciszy aktor w okularach i aktor w jasnym płaszczu wolno zbliżają się do siebie. Zatrzymują się w połowie drogi. Aktor w okularach mierzy z pistoletu w stojącego naprzeciw aktora w jasnym płaszczu. Z głośnika rozlega się seria wystrzału. Dziewczyna w biało-czerwonym kostiumie zakrywa twarz rękami i zaczyna głucho śpiewać tę samą co poprzednio frazę. Śpiew przechodzi w gwałtowne zawođenje, szloch. Po wystrzale aktor w płaszczu zbliża się wolno do stojącego nieruchomo aktora w okularach obejmuje go i wolno osuwa się sa ziemię. Aktor w okularach przy wtórze śpiewu Dziewczyny zaczyna biec dokoła sali, biegnie coraz szybciej i szybciej, jest to bieg strachu, rozpacz i beznadziejności. Z głośnika rozlega się seria wystrzałów. Aktor w okularach pada obok leżącego aktora w płaszczu. Śpiew Dziewczyny urywa się nagle. Dziewczyna zeskakuje ze stołu, podbiega do leżącego, klęka, głowę aktora w okularach kładzie na kolanach, przez chwilę zastęga w bezruchu. Po chwili bardzo cicho zaczyna śpiewać wiersz C. Norwida na melodię Andrzeja Kurylewicza. Patrz muzyka do spektaklu Adama Hanuszkiewicza pt. „Norwid”².

**DZIEWCZYNA
W BIAŁO-
CZERWONYM
KOSTIUMIE**

*coraz to z ciebie jako z drzazgi smolnej
wokolo lecą szmaty zapalone
gorejąc nie wiesz czy stawasz się wolny
czy to co twoje ma być zatracone*

*Czy popiół tylko zostanie i zamęt,
Co idzie w przepaść z burzą? — czy zostanie
Na dnie popiołu gwiazdzisty dyjament,
Wiekuistego zwycięstwa zaranie...*

Dziewczyna wstaje, bierze ze stołu długie, czerwone płótno, rozwijając je przykrywa obu leżących aktorów i rozciąga dalej jak rzekę przez całą salę. Chodzi po czerwonym płótnie mówiąc w zadumie:

**DZIEWCZYNA
W BIAŁO-
CZERWONYM
KOSTIUMIE**

*pytasz co to Polska?
... to niebieskookie niezapominałki w rowie..
to woda stojąca na łakach...
wielkanocna...*

(St. R. Dobrowolski)

Dziewczyna wolno porusza się. Jeden z siedzących za stołem aktorów wstaje i jakby zaprzeczając Dziewczynie mówi:

AKTOR I

*między pragnieniem a zaspokojeniem
między marzeniem a urzeczywistnieniem
między nadzieją a spełnieniem,
jest sfera życia. Trud i odpoczynek,
radość i cierpienie...*

Trzeba pragnąć, trzeba marzyć, trzeba mieć nadzieję!
(St. R. Dobrowolski)

W czasie ostatnich słów Dziewczyna idąc przez salę podnosi czerwone płótno wyśoko ponad głowę, pomaga jej Dziewczyna w roboczym fartuchu. Dziewczyny niosą płótno jak kurtynę zasłaniając leżących na podłodze aktorów. Aktorzy wstają i wracają na swoje miejsca. Dziewczyny nie zatrzymując się wolno podchodzą do stołu i przykrywają go czerwonym płótnem.

²⁾ Nagranie płytowe — „Muzyka teatralna Andrzeja Kurylewicza w wykonaniu Wandy Warszawskiej

AKTOR II

*Przyszłość łatwych dróg nam nie wróży
trzeba lata lepić jak cegły
i nie wolno w tym życiu umrzeć
bo idziemy szlakiem poległych
(A. Mandalian)*

**AKTOR
Z WIDOWNI**

*Budując, ludzie śpiewają przy pracy
lecz budowa nie rośnie tak łatwo jak pieśni.
Ta sprawa wygląda inaczej
Serca budowniczych rozśpiewane jak plac
świątecznej zabawy.
Nie tak łatwo budować jakby się śpiewało.
Ta sprawa wygląda inaczej
Lecz co tu gadać! Pomału.
Budowa rośnie i rośnie.
(N. Hikmet)*

INTERMEDIUM WSPÓŁCZESNE

Dziewczyna w biało-czerwonym kostiumie staje przy stole w centralnej jego części, dyrygując dając znak Dziewczynie w roboczym fartuchu. Dziewczyna w fartuchu podchodzi do stołu i uderza w trzymany w ręku gong. Wykonawcy siedzący za stołem ustawiają na stole jeszcze jeden stół. Dziewczyny zdejmując czerwone płótno ze stołu zasłaniają nim podłogę i stół przydialny, tak że widoczny jest tylko stół na nim ustawiony. Dziewczyna w fartuchu uderza jeszcze raz w gong i wskazując ustawione stoły mówi:

**DZIEWCZYNA
W FARTUCHU**

Oto dom czynszowy z czerwonych cegieł

Z sali dochodzi przeraźliwy krzyk kobiety, brzęk tłuczonego szkła, czerwone płótno opada na podłogę, na której leży jeden z wykonawców. Czerwone płótno przy głowie leżącego wygląda jak kałuża krwi.

**DZIEWCZYNA
W FARTUCHU**

*Z trzeciego piętra wypadł człowiek
leży na płytach trotuaru
jego twarz przykryto gazetą.*

Dziewczyna w fartuchu bierze ze stołu gazetę i przykrywa nią twarz leżącego wykonawcy. Grupa wykonawców zbliża się do stołu. Ze wzmagającego się gwaru wyodrębniają się poszczególne głosy.

GŁOS I

Mówią — kochanka wypchnęła go przez okno.

GŁOS II

Mówią — rzucić ją chciał.

Dziewczyna w fartuchu wskazuje dwóch młodzieńców.

**DZIEWCZYNA
W FARTUCHU**

*Dwaj młodzieńcy z piękną falą na głowie
bawią się znakomicie*

**MŁODZIEŃC I
i MŁODZIEŃC II**

Lotnika udawał, fruwać chciał.

Dziewczyna w fartuchu wskazuje wyraźnie stojących.

**DZIEWCZYNA
W FARTUCHU**

*Ludzie stoją nad trupem,
który zakończony jest
żółtymi półbutami, brudna cyklistówka przy nodze,
mówią dzieci miał.*

GŁOS III (wrzaskliwie)

*Ja bym nie chłopca, ale dziewczę
co szczęście rodzinne rozbija
tasakiem porąbała!*

**DZIEWCZYNA (wskazując dom)
W FARTUCHU**

*Dwa okna na trzecim piętrze
Jedno zabite dyktą*

*tam „żyli ze sobą”
Mięso starzeje się
teraz leży na kontuarze ulicy
owinięte w papier*

(zwracając się do widowni)

*co z tym zrobisz poeto,
z tym co wypadło przez okno?*

Stojący przy leżącym na ziemi odwracają się w kierunku widowni jakby oczekując odpowiedzi. Przez chwilę panuje cisza. Z widowni wychodzi aktor, zatrzymuje się na krawędzi wolnej przestrzeni i odpowiada za wszystkich w sposób bezpośredni świadczący o szczerości i skromności mówiącego.

**AKTOR
Z WIDOWNI**

*My, którzy rozprawiamy
o tradycji i nowoczesności
o weryfikacji i naśladownictwie
my, którzy piszemy wiersze
rymowane, wolne, białe,
którzy jesteśmy uczeni w piśmie
którzy opiewamy
i śpiewamy jak ptaki
którzy z pieśnią na ustach
idziemy w dal
zwróćmy uwagę na martwego
dlaczego nie daliśmy mu
nowych uczuć
nowych obrazów
nowych oczu
nowych ust*

Zgromadzeni przy leżącym rozchodzą się w milczeniu. Aktor z widowni mówiąc podchodzi bliżej do leżącego.

*Jeśli był oporny
trzeba go było porwać
umarł na truciznę
którą zostawił w jego wnętrzu
gniący świat*

Dziewczyna w biało-czerwonym kostiumie i Dziewczyna w fartuchu podnoszą czerwone płótno jak kurtynę i zasłaniają leżącego. Aktor z widowni stoi na tle czerwonej płaszczyzny potem idąc w kierunku widowni mówi, do wszystkich, dobitnie, natarczywie.

**AKTOR
Z WIDOWNI**

*Pochylajmy się nad wszystkim
nie zostawiamy ludzi
sam na sam z ich pustką
jesteśmy odpowiedzialni
za kształt każdego człowieka
Jeśli zapomnimy o tym
nasza poezja będzie
godną pogardy gadaniną
(T. Różewicz)*

Dziewczyny — trzymając w ręku kurtynę-płótno zasłaniają aktorów porządkujących rekwizyty. Po chwili dziewczyny zakrywają stół płótnem. Z głośnika rozlega się skoczna ludowa melodia, może to być oberek. Istotne jest brzmienie instrumentów ludowych. Na środek sali w tanecznym rytmie wpada aktor w dożynkowym wieńcu na głowie. Wieniec jest kolorowy i ozdobiony wstążkami. W rytmie tańca aktor wypiewuje tekst.

**AKTOR
W DOŻYNKOWYM
WIENCU**

*Ziemio dobra
ziemio żyzna
tyś mi matka*

tyś ojczyzna
 tyś widziała losów tyle
 ile leż zmieściły chwile
 ile żdźbeł na łące żralej
 Z wieków które przeszumiały
 z bitew szaniców i wystrzałów
 z kajdan jęku, z manifestu
 z serc gorących
 i czczych gestów
 ulepione twoje dzieje
 Mówią że dziś promieniejesz
 ześ w błogosławionym stanie
 że się wkrótce matką staniesz
 że powijesz pełne szczęście
 Ach powiadam jakżem rad
 że my dzisiaj pchamy świat
 Cel jest gwiazda szklany dom
 lśni przed nami
 lśni przed nami
 lśni przed nami
 tęczowymi kolorami
 lśni przed nami
 szklany dom.

Przez melodię oberka przebija dostojny rytm poloneza. Aktor w dożynkowym wieńcu zmienia dotychczasowy krok i rytm, podaje rękę Dziewczynie w biało-czerwonym kostiumie, zaczynają tańczyć. Do tańca przyłączają się inni aktorzy, a nawet widownia powinna być doń wciągnięta. Cała sala tańczy, tworzy się nastrój ludowego festynu. Poszczególne figury i układy poloneza wykonawcy ustalają sami w zależności od możliwości i wyobraźni. Poniższy tekst powinien być mówiony przez całą grupę podczas tańca.

RECYTACJA ZESPOŁOWA

Ziemię ciężarna, ziemię pęczniejącą
 węglem, żelazem i naftą
 zaklinam cię w imię słońca
 Stań się światło!
 Niechaj robotnik strudzony
 od wieku po wiek
 powie ziemi rodzonej:
 Jestem człowiek!!!

(Wł. Broniewski)

Taniec powoli zamiera, muzyka wycisza się. Stojąca na tle nieruchomej grupy wykonawców aktorka recytuje.

AKTORKA I

Ziemię ojczysta, ziemię jasną
 nie będę powalonym drzewem
 Codziennie mocniej w ciebie wrastam
 radością, smutkiem, dumą, gniewem
 Nie będę jak zerwana nit
 odrzucam pustobrzmiące słowa
 Można nie kochać cię — i żyć,
 ale nie można owocować!

(W. Szyborska)

Rozpoczyna się znowu taneczny korowód. Dziewczyna w biało-czerwonym kostiumie obnosi dokoła sali bohenek chleba, panuje ciągle nastrój radosny, świąteczny. Nagle tańcząca grupa rozprasza się i formuje się niemy dwuszereg. Ktoś chwytą płótno ze stołu gwałtownym ruchem, czerwień unosi się nad głowami stojących i u stóp opada. Dziewczyna w białoczerwonym kostiumie pochyla się nad płótnem, powoli rozkłada je jak wiejski bielnik na łące i przykłada nad płótnem pośrodku sali.

**DZIEWCZYNA
W BIAŁO-
CZERWONYM
KOSTIUMIE**

*Za długo staliśmy
przebierając nóżkami. Teraz lawina spod stóp
nam wystrzeliła — nikogo nie zbawi
ni maska błazna, ni kapłańska mina
Trudno. Jak bańka pękła mydlana kraina naszej
arkadii..
(E. Bryll)*

INTERMEDIUM OSTATNIE

Na salę wchodzi grupa wykonawców niosąc transparenty, flagi i kwiaty. Spiewając zbliża się marszowym krokiem do środka sali. Aktorzy biorący dotychczas udział w widowisku usuwają się dyskretnie i siadają na podłodze. Grupa z transparentami przez chwilę maszeruje w miejscu, następnie zatrzymuje się a pojedynczy wykonawcy zaczynają recytować.

RECYTATOR I

*Siebie daj ojczyźnie — kowadło i młot.
o ziarno woła ziemia i żona,
lalek i słońca dziecko żąda!*

RECYTATOR II

*Gdzie owies dzwoni kwitnie kamień
łopuchy skrzydłem potok głaszczą,
obłok przechodzi nad smrekami
i ponad wiatrem staje jastrząb.*

RECYTATOR III

*Gdzie krowy w słońca aureoli
po cierniach drogi krocząc boso
ostrożnie cicho i powoli
niepokalane mleko niosą.*

RECYTATOR IV

*Gdzie w letniej ciszy swojskich sadów
nie wschodzą słońca pomarańczy
Plebajusz rodem z winogrodu!
Z patykami w ziołach powój tańczy!*

RECYTATOR V

*Gdzie wszystkie sprawy pospolite
serdeczne stroją przymiotniki
gdzie matka moja z chłopskim szykiem
jedzie tramwajem do fabryki.*

RECYTATOR VI

*Tam na metafor koleinach
odszukać pragnę proste słowa,
że jesteś jedna, więc — jedyna
nasza, znaczy że ludowa.
(Poeci krakowscy na XXVIII-lecie
PRL „Gazeta Krakowska”)*

Ostatni recytator przekrzykuje śmiechy i szmer dezaprobaty, jaki narastał wśród widowni. Rozlegają się gwizdy. Z poruszonej widowni wybiega młody człowiek, głośno krzycząc opanowuje sytuację.

**MŁODY
CZŁOWIEK**

*Dość tego rzepolenia na klawiszach niepotrzebnych słów!!!
mój młody rodaku z długopisem w dłoni!*

W tym czasie Dziewczyna w roboczym fartuchu, trzymając szczotkę do zmiatania podchodzi do mówiącego przysłuchując się.

**MŁODY
CZŁOWIEK**

*Nie ujdiesz stąd
jak wiatr od suchej rdzawej chmury
Polska rozlewisk wiosennych i fabrycznych dymnych
bruzd
ciebie dogoni!*

Dziewczyna w roboczym fartuchu wskazuje grupę z transparentami, mówi do zebranych.

DZIEWCZYNA W FARTUCHU *Czy oni rzeczywiście sądzą, że sentymentalne bredzenie o owsie i niepokalanym mleku może być odpowiedzią na ogromny wysiłek Partii i ludzi pracy, który wyznacza Polsce miejsce wśród krajów przodujących za lat kilkanaście. Czy twórcy tych wierszy sądzą, że stare narzędzia duchowe wystarczą na ten skok, że się psychicznie nie zmieniamy?*

Dziewczyna w fartuchu robi kilka wymiatających ruchów szczotką, grupa z transparentami wychodzi z sali. Dziewczyna opierając się na szczotce zwraca się do publiczności.

DZIEWCZYNA W FARTUCHU *Program Partii wydaje mi się stokroć bardziej atrakcyjny, niż owo śmieszne i tandetne tego programu ozdabianie.*

(wybucha śmiechem, cytuje)

*„Plebejusz rodem z winogrodu
Z patykami w ziołach powój tańczy!”*

Obecni na sali ożywiają się, wiele osób chce zabrać głos. Jeden z aktorów zza stołu wstaje, ucisza salę i mówi.

AKTOR I

*My — ze wszystkimi naszymi błędami,
Tu z jakąś winą, a ówdzie i z grzechem,
My, twardzi, szorstcy, nieprzejednani,
Z zaciśniętymi kamiennymi pięściami —
Ach, mimo wszystko, jesteśmy Uśmiechem,
Ziemi majowej szczęśliwym oddechem,
słońcem młodzieńczym na świeżej polanie,
świtem pachnącym igliwiem leśnym,
Ust niecierpliwych słodkich pośpiechem —
oto kto my jesteśmy.*

(J. Tuwim)

Aktorzy siedzący za stołem zajmują miejsca wśród widzów. Przy stole zostaje tylko Dziewczyna w biało-czerwonym kostiumie. Bierze czerwone płótno w ręce, nabiera go coraz więcej i więcej. Przez chwilę patrzy w milczeniu na zebranych, po czym zaczyna mówić spokojnie, prawie szeptem.

DZIEWCZYNA W BIAŁO-CZERWONYM FARTUCHU

*Moje ramię prześpiewuje się do twojego ramienia
całujemy się z ustami pełnymi poziomek
kochamy się pod gołym niebem —
Wyzłocona blaskiem zachodzących lat
nasza po trzykroć nie wygrana MŁODOSĆ
ZE SWEGO CIERNIA WYZWOLIĆ CHCE
PROMIEŃ.*

(U. Koziół)

Dziewczyna w biało-czerwonym kostiumie powoli wychodzi z sali.